MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 26 WARSZAWA 18 CZERWCA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

ŻYWIOŁOWE ZJAWISKO

NAZYWAMY żywiołowym zjawiskiem to zjednoczenie patriotyczne, którego widownią stała się Polska wobec grożącego jej niebezpieczeństwa. Oczywiście nie mogłoby to nastąpić, gdyby nie t. zw. koniunktura, która wytrąciła dialektyków politycznych z dotychczasowego stanowiska przekory w stosunku do tej niezbitej prawdy, że naród ma dla siebie drogę przeznaczoną od dziejów i że jednomyślność w uznaniu tej drogi przez wszystkie ugrupowania polityczne jest głównym warunkiem dobrej polityki.

Zjawisku temu poświęcił specjalny wykład Adam Doboszyński. W wielkiej sali krakowskiego Sokoła wygłosił on wobec licznej publiczności odczyt p. t. „Naród w obliczu wojny". Propaganda dozbrajania moralnego musi w takiej chwili odrobić to, co złego się zrobiło przez rozbrajanie moralne, a hasło zjednoczenia musi rozbroić ostatecznie tych, którzy szukali linii podziału.

Ze względu na wagę poruszonych w odczycie zagadnień przytoczymy w tem miejscu streszczenie wykładu podane w „Słowie Narodowem".

*

W obliczu wojny dokonała się zmiana w pojęciach wszystkich Polaków. Dziś nikt już nie przeczy, że w Polsce gospodarzem musi być naród. Naród nie znalazł się jeszcze w konstytucjach i ustawach, ale znalazł się w duszach i w poczuciu zbiorowem wszystkich Polaków.

Ta wspólna świadomość dokonała wielkiego dzieła zjednoczenia, niestety jeszcze nie faktycznego, ale zjednoczenia w duchu. Mimo to są ludzie, którym zjednoczenie to się nie podoba. Są zawodowi truciciele, którzy zjednoczenie to chcieliby skazić. Ci rozbijacze wołają na wiecach, że polski robotnik pójdzie na wojnę pod czerwonym sztandarem. Nasuwa się analogia z Hiszpanią. I tam do walki stanęły duch narodowy i duch czerwony. Duch narodowy przez cały czas wojny był duchem ofensywy i zwycięstwa, duch czerwony był duchem słabości, odwrotu i wreszcie haniebnej ucieczki za granicę.

W obliczu wojny mamy dwie drogi: jedną, którą wytycza duch narodowy i drugą zależną od różnych międzynarodówek, złotej, czerwonej i masońskiej. I u nas są już „apostołowie" chcący nas wepchnąć w takie odmęty, w jakie wtrącono Hiszpanię. Droga już jest wybrana: naród polski pod czerwoną komendę nie pójdzie. Musimy wiedzieć z kim walczymy i musimy policzyć wrogów.

Na czerwonych zebraniach mówi się, że wrogiem jest Hitler, nawołuje się do wojny krzyżowej z hitleryzmem, w której sojusznikiem naszym ma być międzynarodowe tałatajstwo żydowskie. My natomiast mamy 4 wrogów: 3 zaborców, od których się Polska wyzwoliła i żydostwo, z którym walka jeszcze nie skończona. W obliczu wojny nie ma zawieszenia broni z żadnym wrogiem. Walczyć będziemy i z Niemcami i z Żydami.

Musimy policzyć swoje siły i broń. A broń to nie tylko ta, która leży w magazynach, ale to przede wszystkiem przemysł, fabryki, kopalnie. „Gazeta Polska" doniosła niedawno, że wpływy kapitału niemieckiego w polskim przemyśle wzrosły ostatnio niepomiernie; to co było kapitałem czeskim i austriackim dziś już jest kapitałem niemieckim.

Kapitał ten nie łatwo odkryć, zamaskował się, pozornie nawet spolszczył. „Gazeta Polska" pisze, że trzeba czuwać, pilnować, piętnować. Naszem zdaniem trzeba działać, i to zaraz, nie dopiero wtedy, gdy będzie mobilizacja, gdy trzeba będzie walczyć. Czas najwyższy do wielkiego kapitału obcego, nie tylko niemieckiego, ale, kto wie czy nie więcej groźnego żydowskiego zabrać się zaraz, dziś, nie wówczas dopiero, gdy działa grzmieć będą na granicach.

Czas dokonać unarodowienia wielkiego kapi-

tału. Nie można się wahać przed ogromem zadania. Trzeba ujawnić istotnych właścicieli. Trzeba do każdego wielkiego przedsiębiorstwa dać dozorcę. Najlepiej gdyby to był nadzorca z ramienia narodu, ale narazie niech to będzie nadzorca z ramienia armii. Musimy dalej domagać się, by oręż kuli Polacy, by ze wszystkich przedsiębiorstw usunięto obcych, żydowskich i zagranicznych pracowników. Trzeba unarodowić i formy posiadania.

My, narodowcy, jako duchowi przewodnicy narodu, musimy sobie w obliczu wojny uświadomić jej cele. Nasi pejsaci „sprzymierzeńcy" ustalili kolejność: najpierw zniszczyć Hitlera, potem Polskę. Chcąc ustalić nasze cele musimy sięgnąć do człowieka, który swą genialną myślą ogarnął cały naród, wytyczając szlaki jego rozwoju, do Romana Dmowskiego.

Od 20 lat usiłowało się zepchnąć Polskę z tej drogi, którą jej nakreślił R. Dmowski. Próbowano we wszystkich sprawach iść na przekór tej linii, którą postępował Obóz Narodowy, i zawsze rozbijano o mur głowy, niestety nas wszystkich. Zupełną klęską zakończyła się ta polityka wobec ukraińców: po latach daremnych usiłowań musiano zejść na drogę, którą od początku wskazywał Obóz Narodowy. Stawiano na masonerię i przed pół rokiem, szczerze czy nie szczerze i z tej drogi musiano zawrócić. Czy trzeba mówić o sprawie żydowskiej?

Wreszcie spór dziejowy, gdzie jest największy nasz wróg: na wschodzie czy na zachodzie. I tu przed 3 miesiącami trzeba było zawrócić. We wszystkich sprawach musieli różni panowie zawrócić w miejscu i przejść na drogę, dyktowaną przez Obóz Narodowy. Ale jeśli wkroczyli na drogę naszą, to domagać się musimy by myśl Dmowskiego wypełniona była bez reszty, by w razie wojny osiągnięte zostały na Zachodzie granice Dmowskiego.

Skoro zeszli na tę drogę, to muszą nią iść do końca. Zdajemy sobie sprawę z bezmiaru ofiar, które naród polski w walce o swoje cele poniesie. Ofiary te nie mogą być daremne. Polska, która wyjdzie z wojny — wiemy to — zwycięską, musi być inną od Polski dzisiejszej, lepszą, sprawiedliwszą, musi być Polską narodową. Tylko my możemy stać się ośrodkiem skupiającym wszystkich szczerze narodowo myślących ludzi. To nas zobowiązuje.

Wysiłek nasz był ostatnio może zbyt mały. Umarł nasz Wódz. Gdy wódz umiera, w ofensywie jego armii powstaje przerwa. Ale jesteśmy winni Jego pamięci, by tę ofensywę znowu podjąć. Musimy wyjść z okopów, rzucić przed naród cele wojny, by każdy Polak zrozumiał, że z tych zapasów, które nas czekają powstanie Polska Narodowa. Musimy zdobyć się na wysiłek walki o duszę każdego Polaka i o duszę całego narodu i na wysiłek ten zdobędziemy się. Prawda leży tam, gdzie budzi się wiara i gdzie ludzie gotowi są za swe przekonania cierpieć i walczyć. Prawda jest więc z nami. Wytężmy tylko wszystkie siły, by naród w obliczu wojny wszedł na właściwą drogę i by to była droga prowadząca do wielkości i zwycięstwa.

*

W świetle tej prawdy, którą życie narodu z żywiołową mocą wypowiada, tem jaskrawiej uwydatniają się gorszące próby prowokowania rozłamów w zjednoczeniu, które się dokonało ponad głowami spekulantów politycznych. Nakazem chwili jest usunąć szerzycieli zamętu z życia publicznego. Tolerowanie ich ściągnąć może na Polskę zarzut, że obłudną jest i jej postawa i jej myśl polityczna.

Z CYKLU „POLSKA NA MORZU".

POLSKIE DĄŻENIE CZARNOMORSKIE

DZIEJE Polski wykazują, jak wiadomo, stały i systematyczny pęd ku Bałtykowi[1]). Pęd ten jest oparty na przesłance geograficznej, mianowicie, że państwo polskie tworzyło się w dorzeczu Wisły, dla ktorej zlewiskiem jest morze Bałtyckie[2]). W dziejach naszych atoli spotykamy się również z dążeniem do innego morza, jakiem jest morze Czarne. Pęd czarnomorski zjawia się później od bałtyckiego, bo dopiero w XIV w., wzmaga się dość wybitnie w drugiej połowie XV w., przejawia się znacznie słabiej w końcu XVI stulecia i spotyka się urywkowo w XVII, a wreszcie zaznacza najwyraźniej na schyłku dawnej Rzplitej, między I-ym i II-im rozbiorami. W okresie zaborów widać bardzo słabe odbicie tego dążenia czarnomorskiego w projektach politycznych obozu zachowawczo-niepodległościowego, opierającego odbudowanie państwa na zamianie przedwojennych Austro-Węgier w Austro-Węgry-Polskę. W dobie obecnej pewien pęd ku morzu Czarnemu odczuwa się w zawieranych przez Rzplitą traktatach z państwami bałkańskimi.

Chcąc zdać sobie sprawę z istoty polskiego dążenia czarnomorskiego, należy: 1) wyjaśnić znaczenie morza Czarnego, jako szlaku komunikacyjnego w starożytności, średniowieczu, czasach nowożytnych i najnowszych, i 2) zastanowić się nad położeniem politycznem i gospodarczem Polski w tych okresach, kiedy występował w niej pęd czarnomorski. Wiążąc punkt pierwszy z punktem drugim, otrzymamy wniosek, charakteryzujący istotę naszego dążenia ku morzu Czarnemu.

Przystępując do wyjaśnienia roli morza Czarnego, jako arterji komunikacyjnej, powinniśmy spojrzeć na to morze pod kątem widzenia: a) geograficzno-żeglugowym i b) historyczno-żeglugowym.

Morze Czarne wraz z Azowskiem stanowi najbardziej na północny wschód wysuniętą zatokę morza Śródziemnego, będącego z kolei zatoką oceanu Atlantyckiego. Połączenie morza Czarnego z Śródziemnem odbywa się przez dwie kolejne cieśniny: Bosfor i Dardanele, a morza Śródziemnego z oceanami — przez cieśninę Gibraltarską

[1]) Pierwszy zwrócił na to uwagę Adam Szelągowski, a rozwinął to Wacław Sobieski.
[2]) Obecnie 75% obszaru Rzplitej stanowi dorzecze Bałtyku, a 25% — morza Czarnego.

(Atlantyk) i kanał Sueski oraz cieśninę Bab-el-Mandeb (ocean Indyjski). Powierzchnia morza Czarnego wynosi 450.000 km. kw.[3]), a jego przeciętna głębokość — 1.200 m.[4]). Z kształtu przypomina ono elipsę, mającą oś. z północy na południe, o długości 500 km. i dużą oś, z zachodu na wschód, o długości 1000 km. Brzegi zachodnie (bułgarskie i rumuńskie) i północne (ZSRR) są niskie i piaszczyste, a wschodnie (ZSRR) i południowe (tureckie) — wysokie i skaliste. Naogół linja brzegowa jest równa i nie tworzy zatok naturalnych, pewien wyjątek stanowią ujścia wielkich rzek na północnym brzegu (Dniestru, Bohu, i Dniepru). Wysp na morzu Czarnem niema, a z półwyspów występuje jedynie na północy Krym o kształcie romboidalnym. Wąskie cieśniny, łączące morze Czarne ze Śródziemnem (szerokość Bosforu — 2 km., szerokość Dardanelów — 7 km.), wyższy poziom dna czarnomorskiego nad śródziemnomorskim oraz duża masa wód rzecznych, niesionych przez Dunaj na zachodzie, Dniestr, Boh, Dniepr i Don na północy, Kubań na wschodzie — nadają niewielkie zasolenie morzu Czarnemu, dochodzące przeciętnie do 21%. Zamarzają wyłącznie wody przybrzeżne na północy, szerokość pasa zamarzania do 30 km. Zamarzanie to trwa przeciętnie przez 2 zimowe miesiące (grudzień i styczeń), a w tym samym czasie występują bardzo silne wiatry i burze, uniemożliwiające żeglugę.

Streszczając, możemy powiedzieć, że pod względem geograficzno-żeglugowym morze Czarne stanowi część szlaku śródziemnomorskiego, jest łatwe do żeglugi i przydatne dla niej przez 10 miesięcy na rok.

Morze Czarne było znane już z głębokiej starożytności. Grecy przed wyprawą Argonatów nazywali je Niegościnnem („agenos"), a po tej wyprawie przemianowali je na Gościnne („eugenos"). W VI w. przed Nar. Chr. całe wybrzeże północne, będąc krawędzią żyznych stepów czarnomorskich, było usiane licznemi kolonjami greckiemi, zakładanemi przeważnie w ujściach rzeki na południowym brzegu Krymu. Żegluga odbywała się przeważnie między Atenami, będącemi największym ośrodkiem handlowo-morskim w Grecji starożytnej, a temi kolonjami, przyczem portem postojowym było Bizancjum (dzis Konstantynopol) nad Bosforem. Kolonje dostarczały zboża, którego stale brakowało w niezbyt urodzajnej Helladzie, a Ateny — przedmiotów wytwórczości. Ten stan rzeczy pozostał przy Rzymianinach, którzy przez cały czas cesarstwa utrzymywali na morzu Czarnem eskadrę floty wojennej, zabezpieczającej ruch żeglugowy z północy na południe i odwrotnie. Z czasów rzymskich datuje się nazwa Pontus Euxinus, będąca zlatynizowanym wyrazem „eugenos". Handel morski uprawiali wyłącznie Grecy i później Syryjczycy.

W pierwszej połowie średniowiecza monopol handlu na morzu Czarnem przeszedł z Aten i Syrii do Bizancjum, które stało się stolicą cesarstwa wschodnio-rzymskiego. Ruch żeglugowy miał po dawnemu kierunek południkowy, lecz na północnem wybrzeżu czarnomorskiem środek ciężkości, będący od czasów starożytnych bardziej na zachodzie, koło ujść Dniestru (porty: Nikonion, Isakion, Odissos i Skopelos) i Bohu (port Alektos), zaczął się zwolna przesuwać ku wschodowi, na południowe wybrzeże Krymu (porty: Eupatoria, Chersonez[5]), Palakion[6]) i Teodozja), ku cieśninie Kerczeńskiej i ujściu Donu. Wpłynął na to ruch handlowy z Azją, który odbywał się bądź bezpośrednio przez Bizancjum, bądź kierował się ku brzegom Bałtyku („bursztynowe" wybrzeże) przez morze Kaspijskie i wgórę Wołgi. Przy szlaku kaspijsko - wołżańskim koloniści czarnomorscy z Krymu i z nad morza Azowskiego zapuszczali się wgórę Donu na 300 km. i udawali się włokiem do odległej o 70 km. Wołgi. Kolonie czarnomorskie dostarczały do stolicy cesarstwa wschodnio-rzymskiego po dawnemu zboża oraz zrazu niewiele, lecz potem coraz więcej wyrobów uprzemysłowionej Azji. Handel szedł pod banderą grecką.

W drugiej połowie średniowiecza zjawili się na morzu Czarnem Genueńczycy i Wenecjanie. Jedni i drudzy dorobili się bardzo na przewozach morskich podczas wypraw krzyżowych, XI — XIII w., i wykorzystując coraz większą słabość cesarstwa wschodnio-rzymskiego, opanowali całkowicie żeglugę we wschodniej połaci morza Śródziemnego i na morzu Czarnem. Zostały też przez nich opanowane najpierw handlowo, a potem politycznie wszystkie kolonie greckie na północnem wybrzeżu czarnomorskiem. Kupcy włoscy zwrócili przede wszystkiem uwagę na obroty z Azją z jednej, a z Europą Środkową i Wschodnią z drugiej strony. Wenecjanie założyli przy ujściu Donu port Tanę[7]), a Genueńczycy powiększyli znacznie krymską Teodozję, przemianowaną na Kaffę. Faktorie genueńskie i weneckie zostały otwarte w naddunajskiej Kilii i naddniestrzańskim Akermanie (dawnym Nikonionie). Z tych dwóch portów ruch zaczął się kierować na północny zachód, przez Lwów, Kraków i Wrocław. W drugiej połowie średniowiecza, zwłasza w XIV w., ruch żeglugowy na morzu Czarnem miał w znacznej mierze kierunek równoleżnikowy, ze wschodu na zachód i odwrotnie, osiągając stopień największego natężenia na odcinku Kaffa—Akerman i Kilia, (450 km.) Szły wyroby azjatyckie i surowiec europejski typu rolniczo-leśnego.

Zdobycie Konstantynopola przez Turków (1453 r.) oraz wielkie odkrycia geograficzne XV w. (osiągnięcie Ameryki przez Kolumba w 1492 r. i Indyj Wschodnich przez Vasco de Gamę w 1498 r.) podcięły z gruntu całą potęgę morską Genueńczyków i Wenecjan. Turcy przede wszystkiem zamknęli Bosfor i Dardanele dla obcych statków, a następnie zaczęli systematycznie podbijać wszystkie kolonie włoskie we wschodniej połaci morza Śródziemnego i na morzu Czarnem. W 1475 r. sułtan Mahomet II zajął Kaffę, a w 1484 r. sułtan Bajazet II — Akerman i Kilię. W XVI w. całe pobrzeże czarnomorskie znalazło się w ręku tureckiem, przyczem brzegi północne wraz z Krymem stały się domeną koczujących hord tatarskich i chanatu krymskiego, pilnowanego zresztą bacznie przez namiestnika sułtańskiego w Kaffie, nazywanej Małym Stambułem (Kuczuk Istambuł).

[3]) Powierzchnia Bałtyku — 368.000 km.²

[4]) Przeciętna głębokość Bałtyku — 50 m.

[5]) Obecnie Sewastopol.

[6]) Obecnie Bałakława.

[7]) Obecnie Azow.

Ruch handlowy na morzu Czarnem zmalał bardzo, albowiem Turcy, urodzeni żołnierze, traktowali z pogardą i lekceważyli handel w ogóle, a koczownicy tatarscy zajmowali się jedynie rozbojami lądowemi i najazdami na ziemie polskie i moskiewskie. W związku z powyższem, szybko zaczęły zanikać bogate dawniej i ożywione porty czarnomorskie, z których prawie wyłącznym przedmiotem wywozu stali się niewolnicy chrześcijańscy, ów słynny jassyr. Niewolnicy ci byli spędzani na targowisko w Kaffie, skąd odsyłano ich drogą morską do Konstantynopola. Statki pod banderą turecką prowadzili przeważnie poturczeńcy greccy. Kierunek ruchu żeglugowego był prawie wyłącznie południkowy, Kaffa — Konstantynopol, natomiast równoleżnikowy, Tana — Kaffa — Akerman i Kilia, zamarł prawie zupełnie. W parze z kurczeniem się żeglugi na morzu Czarnem słabł ruch żeglugowy we wschodniej połaci morza Śródziemnego, na którem z jednej strony panowała turecka flota wojenna z korsarzami maurytańskimi z Tunisu, Algieru i Marokka, a z drugiej które straciło na znaczeniu komunikacyjnem, w związku z odkryciem Ameryki i wynalezieniem choć dalszej ale bezpieczniejszej drogi Vasco de Gamy do Indyj Wschodnich.

Ten stan rzeczy przetrwał przez cały wiek XVII i pierwszą połowę XVIII stulecia. Państwo tureckie, podcięte w swej potędze wojskowej przez kopje husarzy polskich pod Wiedniem (1683 r.), zaczęło się chylić do upadku, a na północnych brzegach morza Czarnego zjawiła się potęga rosyjska. Piotr Wielki zaczął napór od ujścia Donu, a Katarzyna II poprowadziła akcję frontalnie na Krym i ku ujściu Dniestru.

Traktat pokojowy w Kuczuk Kajnardżi (1774 r.) odbierał Turcji Krym i część pobrzeża czarnomorskiego oraz otwierał dla bandery rosyjskiej swobodne przejście przez Bosfor i Dardanele. Krym został wcielony do Rosji w 1783 r. Następny traktat pokojowy w Jassach (1791 r.) oddawał Rosji resztę północnego wybrzeża czarnomorskiego oraz znaczne pasy na wschodniem (kaukaskiem) i zachodniem (protektorat nad Mołdawią, tj. nad ujściem Dunaju). W wieku XIX sprawy rosyjskie poszły *crescendo*. Turcja waliła się w oczach (1829 r. — odzyskanie niepodległości przez Grecję i Serbję, 1830 r. — zabór przez Francję hołdującego Turcji Algieru, 1831 r. — usamodzielnienie się lennego Egiptu). Cesarz rosyjski Mikołaj I wymógł na Turkach zabronienie wejścia na morze Czarne wszystkim okrętom i statkom, pływającym pod banderą nierosyjską (traktat w Unkiar Skelessi z 1833 r.).

Powodzenia rosyjskie zahamowała chwilowo wojna Krymska, zakończona przez traktat paryski (1856 r.), który zabraniał Rosji utrzymywania floty wojennej na morzu Czarnem oraz budowania fortyfikacyj na jego brzegach.. Pomyślna dla Rosjan wojna z Turkami, 1877/8 r., przekreśliła te ograniczenia i wyzwoliła z pod władzy sułtanów dwa czarnomorskie kraje bałkańskie: Bułgarię i Rumunię, oddając Rosji z powrotem ujście Dunaju i dobry port kaukaski, Batum (uchwały kongresu Berlińskiego, 1878 r.). Cesarstwo rosyjskie odzyskało w całej pełni przewagę na morzu Czarnem, rozwijając coraz intensywniej swą żeglugę handlową pod osłoną marynarki wojennej. Bandera rosyjska zajęła pierwsze miejsce na tem morzu, a najgłówniejszym portem stała się założona w końcu XVIII w. Odessa (starogrecki Istrion), mniej więcej w połowie drogi między ujściami Dunaju (port Kilja) i Dniepru (port Chersoń). Ruch żeglugowy stał się wybitnie południkowym ze szlakiem Odessa—Konstantynopol, 650 km. Żegluga wzmogła się bardzo znacznie z chwilą przekopania kanału Sueskiego (1869 r.), który skrócił drogę z Europy Zachodniej do Azji o 6500 km. i przywrócił morzu Sródziemnemu utracone w XV —XVI w. zalety komunikacyjne. Szlak Odessa — Konstantynopol stał się automatycznie początkowym odcinkiem wielkiego szlaku oceanicznego, łączącego Europę Wschodnią z Azją Południową i Dalekim Wschodem.

Ten stan rzeczy dotrwał do Wielkiej Wojny Światowej, 1914/18 r. Wyniki wojenne postawiły poza nawiasem Europy dawne cesarstwo rosyjskie, obecnie ZSRR, i dały na brzegach czarnomorskich wzmocnione znacznie królestwo rumuńskie[10]), mające teraz całkowite ujście Dunaju z trzema głównemi ramionami: Kilijskiem (port Kilja o 30 km. od morza), Sulińskiem (port Sulina na brzegu morskim) i Św. Jerzego. W związku z utworzeniem się Wielkiej Rumunii, która na wschodzie doszła do Dniestru i znalazła się w bezpośredniem sąsiedztwie Odessy, rosyjski ruch żeglugowy, ograniczony zresztą bardzo znacznie przez swoiste warunki ZSRR, przeniósł się z zachodniej części północnego wybrzeża czarnomorskiego do wschodniej i oparł się w przedkaukaskim Noworosyjsku o 60 km. na południe od ujścia największej rzeki na wschodnim brzegu morza Czarnego, Kubani.

Kierunek ruchu żeglugowego pozostał na morzu Czarnem bez zmian, tj. przeważnie południkowym, od portów rumuńskich na Dunaju (najważniejszy Galacz, leżący o 150 km. wgórę rzeki) do Konstantynopola, a w daleko mniejszej mierze równoleżnikowym, od kaukaskich portów ZSRR, mianowicie Noworosyjska i Batumu do stolicy tureckiej. Na morzu Czarnem przeważają obecnie bandery zachodnio-europejskie, zwłaszcza angielska, francuska i włoska, a szlak czarnomorski, w związku z upadkiem dawnej Rosji, wywożącej olbrzymie ilości produktów rolniczych i surowca kopalnianego (węgiel i żelazo czarnomorsko-azowskie), stał się odcinkiem już nie szlaku oceanicznego, jak w drugiej połowie ubiegłego i na początku bieżącego stulecia, lecz zwyczajnego szlaku morskiego, związanego wyłącznie z morzem Śródziemnem, a zwłaszcza z jego wschodnią połacią i krajami Bliskiego Wschodu.

Z tego historyczno-żeglugowego opisu morza Czarnego wyciągamy wnioski następujące, że kierunek ruchu żeglugowego bywał na niem przeważnie południkowy i że ruch ten odbywał się zawsze przy dużym udziale narodów nieczarnomorskich.

Rola morza Czarnego w dziedzinie komunikacyjnej jest zatem przez nas wyjaśniona. Przechodzimy, wobec tego, do drugiego punktu naszych rozważań, mianowicie: do uprzytomnienia sobie sytuacji politycznej i gospodarczej w tych latach, kiedy w niej występowało dążenie ku morzu Czarnemu.

[10]) Rumunia z przed Wielkiej Wojny Światowej zajmowała obszar 131.350 km. kw., a po wojnie — 295.049 km. kw.

W czasach Kazimierza Wielkiego (1333 — 1370 r.) widzimy Polskę dążącą wszystkiemi siłami do ostatecznego scalenia się wewnętrznego i dobrego zagospodarowania, tj. innemi słowy, do odrobienia całego nieszczęsnego spadku epoki dzielnicowej. W związku z powyższem, mamy wybitną cechę w postaci unikania zatargów zbrojnych z sąsiadami, przede wszystkiem z Czechami (ustąpienie im Śląska, 1339 r.) i z Zakonem Krzyżackim (ustąpienie mu Pomorza Nadwiślańskiego, 1343 r.).

Okupiony temi ustępstwami pokój zewnętrzny posłużył do spokojnej budowy odrodzonego królestwa polskiego, głównie w dziedzinie ustawodawczej i gospodarczej. Ekonomicznie Polska znajdowała się w zasięgu niemieckiej Hanzy, mającej swe faktorie we wszystkich główniejszych miastach polskich, zwłaszcza w stolicach: Krakowie i Poznaniu. Na Bałtyku panowali Hanzeaci, zwalczając pomyślnie wojskową konkurencję duńską. Kazimierz Wielki, widząc, tak jak ojciec jego, Łokietek, zasadniczego wroga Polski w Niemcach, przygotowywał się starannie do przyszłej walki zbrojnej, fundując dynastyczne przymierze polsko-węgierskie z wciągnięciem Litwy i umacniając odziedziczone królestwo administracyjnie i gospodarczo. Ponieważ naturalny pęd Polski ku Bałtykowi znalazł chwilową przeszkodę w postaci utraconego dostępu do morza, przeto wielki Piast postanowił wyszukać namiastkę przez zbliżenie swego państwa do innego szlaku morskiego, jakim była arteria czarnomorska. Morze Czarne, jak była o tem mowa poprzednio, stanowiło w tym czasie prawie wyłączną domenę Genueńczyków i Wenecjan z ich ośrodkiem w krymskiej Kaffie (Teodozji) oraz portami przetokowemi: Tanie (późniejszym Azowie) na wschodzie i Kilji oraz Akermanie na zachodzie. Z Kilii i Akermanu prowadziły lądowe szlaki ku Rusi Czerwonej, na której wygasła właśnie gałąź prawosławnych Piastów mazowieckich. Wygaśnięcie to otworzyło drogę Kazimierzowi Wielkiemu do tak pożądanego spadku. W 1349 r. Ruś Czerwona wraz ze Lwowem wróciła do Polski, a tem samem stanęły otworem dla państwa Kazimierza Wielkiego szlaki czarnomorskie, które stały się odrazu mocną arterią przepływową w związku z założeniem przez Wenecjan agencji handlowej we Lwowie. W ten sposób Polska drugiej połowy XIV w. została wciągnięta w orbitę czarnomorską. Bezpośredniego dostępu do morza Czarnego Kazimierz Wielki nie miał i nie starał się o jego uzyskanie, a zadawalniał się jedynie dostępem pośrednim.

(Dok. n.) WITOLD HUBERT

ALUZJE POLITYCZNE W KOMEDII

PO KONGRESIE wiedeńskim w zaborze pruskim i rosyjskim przez kilka lat stosunek rządów zaborczych do Polaków był znośny. Najlepszy w Rosji, gdzie Aleksander starał się pozyskać dla siebie zaufanie narodu, strasznie zawiedzionego przez Napoleona. Niewiele gorszy w Prusach, które nie ochłonęły jeszcze po klęskach poniesionych w wojnach napoleońskich i które pod ich wpływem przystąpiły do reform wewnętrznych, zwłaszcza w sprawie włościańskiej, co zmusiło je do odłożenia na pewien czas germanizacji prowincji polskiej.

Natomiast w Galicji był stan wręcz zły, bo zachowany od dawna system rządów despotyczny i germanizatorski nie napotykał zupełnie na opór polskiego społeczeństwa. Ale bo też nigdzie upadek tego społeczeństwa pod każdym względem i jego rozbicie nie były tak zastraszające, jak właśnie w Galicji.

Naród polski w tej dzielnicy, która odpadła od Polski już w r. 1772, przeszedł niemal wprost ze zbrodniczo beztroskich czasów saskich pod bezduszne panowanie austriackie. Nie zaznawszy błogosławionych skutków odrodzenia stanisławowskiego, dobrodziejstwa szkół Komisji Edukacyjnej, nie odczuwszy przewrotu ustawy majowej, równouprawnienia mieszczan, nie przeżywszy wstrząsających walk o niepodległość w latach 1792 i 1794 a później wojen napoleońskich, nie doświadczywszy — wreszcie — wolności politycznej Księstwa i Królestwa — trwał naród polski bezbronny pod uciskiem wroga, który chytrze zapewnił mu spokój wegetacji, dezorganizując umiejętnie każdą akcję oporu lub choćby podjęcia jakiejś pożytecznej pracy. Zadanie to spełniała wobec wszelkich prób polskiego piśmiennictwa — cenzura, a wobec życia politycznego i społecznego — całkowitą władzą obdarzone, jedyne w swojej złośliwości biurokracje austriackie.

Zatruto cały kraj intrygami i wewnętrznemi w narodzie nienawiściami, a względem tak złamanego i wręcz niezdolnego do obrony społeczeństwa stosowano wypróbowany od dawna a najniebezpieczniejszy środek germanizacji: masową kolonizację Niemców. W tym stanie rzeczy nie dziwota, że wkrótce znaleźli się oni na „rozmaitych szczeblach drabiny społecznej, od kolonistów, kupców i rzemieślników zacząwszy, a skończywszy na „jaśnie wielmożnych dziedzicach" i wysokich dygnitarzach cywilnych lub wojskowych". [1])

Zjawisko to nie uszło uwagi komediopisarza. W roku 1818 pisze Fredro „Pana Geldhaba". Prawda, że czas i miejsce wypadków przedstawionych w komedii nie są dokładnie określone, a drobne w tym względzie wzmianki wskazują na Księstwo Warszawskie, w którem rzeczywiście, korzystając z zamieszania wojennego, różne geldhaby bogaciły się na dostawach wojskowych. Ale bliższy wgląd w treść komedii, a zwłaszcza zestawienie jej z ówczesnemi warunkami, w jakich toczyło się polskie życie, rozprasza nasze wątpliwości. We wzmiankach o Księstwie Warszawskiem widzimy wybieg przed cenzurą galicyjską, w komedii zaś rozpoznajemy obraz stosunków rzeczywistych, panujących w Galicji współcześnie z powstaniem dzieła, stosunków, na które Fredro od lat i bystro patrzył i na które w ten sobie właściwy sposób ostro reagował [2]).

---

[1]) E. Kucharski „O narodowości Geldhaba", Rzeczpospolita, 1921.

[2]) Dając autorowi swobodę wypowiedzenia się, musimy jednak zastrzec się przeciw kategoryczności jego twier-

Czy jednak w osobie Geldhaba koniecznie musimy widzieć Niemca? Czy niema innego sposobu tłumaczenia postaci, a co za tem idzie i zamierzeń autora? Tą inną drogą poszli później reżyserzy, pojmując Geldhaba jako żyda.

Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości fakt, że żydzi w czasie powstania tej komedii nie mieli w Galicji tak wielkich wpływów, aby mogli nabywać majątki ziemskie i stawać się „dziedzicami", że zarówno poeta jak jego współcześni tylko niemczyzny postępy w Galicji obserwowali, że więc w Geldhabie widzieli i odczuwali Niemca, schwytanego na gorącym uczynku bogacenia się i wynoszenia ku szczytom społecznym.

Atmosfera komediowa Geldhaba niema w sobie ciepła i pobłażliwości późniejszych komedii Fredry. On, który taką sympatią obdarzał swoje „dzieci wieszcze", tutaj, wobec Geldhaba, okazuje się bezlitosny. Tworząc z niego postać psychologicznie bogatą, gromadzi szereg cech, które Geldhaba czynią nie tylko śmiesznym, ale i wstrętnym. Poeta „z młodzieńczą przesadą gromadzi w nim rysy niskiego sknerstwa, podłości, nikczemności, łgarstwa, tchórzostwa, bezczelności i arogancji... Tak odnoszą się zawsze autorowie do zjawisk społecznie ujemnych, ale reprezentujących równocześnie pewną siłę, a więc do zjawisk społecznie groźnych. Nienawiść jest zawsze milczącym uznaniem siły przeciwnika" [3]). Przecież jednak sprężyną duszy Geldhaba, główną jego namiętnością zdaje się być chciwość, chciwość wszystkiego: złota, tytułów, pochwał, wpływów.

Nie tylko charakter Geldhaba ukazać miał niebezpieczeństwo niemieckie. Równie silny nacisk położył komediopisarz na sposób dorobienia się przez niego majątku oraz na zamiary, ku których urzeczywistnieniu zdąża z całą energią.

Przybysz o przeszłości nieznanej niedługo został mieszczaninem a potem burmistrzem w wymownie brzmiącym Schowie. „Wkrótce miał wioski". Jakim sposobem doszedł do ich posiadania?

„Różnie o tym mówiono... różne były wnioski... Ale na to trzeba spoglądać przez szpary".

Mało tego.

„... w możniejszym już stanie przesięwziął różnych rzeczy wojsku dostarczanie"... — rzeczy najnędzniejszej jakości — i

„... jak zwykle bywa, gdy szczęście posłuży,
W dwójnasób jeszcze zwiększył majątek dość duży".

Powyższa treść już dostatecznie byłaby wymowna, gdy idzie o obraz niebezpieczeństwa zalewu kraju przez obcych. Ale Fredrze ona nie wystarczała. Widać, stan rzeczy wydawał mu się jeszcze groźniejszy. Chcąc go ukazać w pełni, każe Geldhabowi, już teraz „dziedzicowi Samochwał, Grypsowa, Łówki, et cetera", przeć do małżeństwa córki z księciem, aby

„Przy tytule książęcym, przy tej wielkiej sławie,
Mieć wielką mitrę w herbie, być wielkim
w Warszawie".

Oto główny cel związku z księciem, związku, który da Geldhabowi całkowitą swobodę, wielkie wpływy i znaczenie w kraju. Fredro rozumiał, że spanoszeni przybysze rzeczywiście mogą mówić o sobie tak, jak mówi Geldhab:

„Nie mogę się opętać suplikantów zgrai:
A że też już na świecie nic się nie utai!
Że żyję z ministrami, i choć się nie chwalę,
Przyznać trzeba, że żyję dosyć poufale,
Dlatego szlachta wiejska ułożyła sobie,
Że jak się za kim wstawię, co zechcę, to zrobię".

I któż to tak wiele ma znaczyć? Oto ten, którego poziom umysłowy wyśmiewa poeta, wkładając mu w usta słowa zachwytu nad literacką kulturą córki:

„Wnet dwieście utnie wierszy nad czarnym stolikiem,
Tak że niech się schowają Nelson z Kopernikiem".

Gdy więc taki człowiek, a nie był on w rzeczywistości na pewno wyjątkiem, rwał się, aby ozdobić swój dom tytułem książęcym i istotnie wtedy „móc wszystko", Fredro najsłuszniej ukazywał go społeczeństwu, tnąc szyderstwem komedii, jako zdradliwe, groźne niebezpieczeństwo dla życia narodowego w Galicji.

Nie tylko jednak sama postać Geldhaba i jego dążenie, ale także i inne wątki komedii służą jej naczelnemu, pozaliterackiemu celowi. Naprzykład postać księcia. Książę decyduje się na małżeństwo z córką przybysza — dorobkiewicza, które przed Geldhabem otwiera nowe widoki, a dla niego jest jedynym ratunkiem w kłopotach majątkowych. Wątek ten zrodził się również z rzeczywistości galicyjskiej, kiedy to „lekkomyślnej szlachcie ułatwiano umyślnie obdłużenie majątków, aby je poddawać potem masowej licytacji". [4]) I oto znów komedia ukazała groźne zło stosunków społeczno-narodowych.

Także osoba córki Geldhaba, Flory nie uwalnia nas od obaw o przyszłość polskiego społeczeństwa. Przecież ta kobieta uczuciowo zwyrodniała, płytka, zarozumiała, łamiąca dla dostojeństw wiarę kochającemu ją człowiekowi, mająca „rozum na sprzedaż, bez żadnego składu", ma zostać polską księżną. Gdy uogólnimy ten wypadek, myśl poety ukaże się jasno: także i tą drogą postępować może pod wpływem obcych przybyszów upadek kierowniczej w narodzie warstwy szlacheckiej, wyrodniejącej przez małżeństwa podobne do tego, którego perspektywę ukazuje nam komedia.

To byłyby już wszystkie myśli-przestrogi, które, jeśli wolno wierzyć własnemu odczuciu, wypowiedział Fredro w „Panu Geldhabie", a któremi poruszyć pragnął umysły i serca współczesnych.

„Pan Geldhab", jako jedyna współczesna komedia satyryczna, artystycznie wybitna, a przytem tak głęboko ujmująca wprost z życia wzięty problem i tak szorstko piętnująca zło, a wskazująca, choć pod osłoną przecież wyraźnie, na niebezpieczeństwo spanoszonych przybyszów — ma wyjątkowe znaczenie w walce o utrzymanie poczucia narodowego i nienaruszonej, mimo zalewu niemieckiego, społecznej i gospodarczej struktury narodu polskiego w Galicji.

---

dzenia, nie dostatecznie liczącego się z dość bogatą literaturą przedmiotu. Może to byłoby prostsze, że Fredro umiejscowił Geldhaba w Warszawie, a satyrę skierował przeciwko mieszczańskiemu dorobkiewiczostwu. — Red.

[3]) Kucharski t. s.

[4]) Kucharski: „Źródła i podniety niektórych wątków i pomysłów Fredrowskich". Pam. Lit. 1920.

„Pan Geldhab” nie uspokoił patriotycznego sumienia poety. W r. 1826 pisze on nową komedię: „Gwałtu, co się dzieje!”. Dziwaczna zewnętrzna szata komedii wprowadziła w błąd późniejszych krytyków, usiłujących odepchnąć zasadniczą myśl poety. Bądź więc pojmowano ją jako igraszkę sceniczną o sarmatyźmie bądź jako satyrę na odwieczną walkę obu płci... Istotnie, przyznać trzeba, że czytelnikowi dzisiejszemu, traktującemu utwór w oderwaniu od chwili i okoliczności jego powstania, myśl przewodnia się wymyka, że istotnie treść komedii jest dziwaczna i niewyraźna. Oto ona: w Osieku, bardzo podłem mieście, kobiety przeprowadziły zwycięską rewolucję przeciw przewadze mężczyzn, a trzy z pośród nich, istne jędze, zagarniają władzę i sprawują ją z całą bezwzględnością. Ich tyrańskie rządy, okoliczności niemi wywołane, niedole mężczyzn, płynące z ich zupełnego niedołęstwa — oto osnowa komedii.

Klucz do rozwiązania jej, do odczytania wielu zrazu niezrozumiałych aluzji — w rękach tego, kto podobnie jak w „Panu Geldhabie”, źródła treści komedii poszuka w ówczesnych warunkach politycznych. Prawda, że owe trzy jędze — władczynie to alegorie trzech rządów zaborczych, ale— znowu jak w „Geldhabie” — fakty, aluzje, stosunki, osobistości żywcem wzięte z życia galicyjskiego, tak, że komedie można śmiało uważać za satyrę na rządy austriackie. Ale i za coś więcej jeszcze. Oto tu, mocniej niż w „Geldhabie”, ukazał Fredro niebezpieczeństwo wynarodowienia się Polaków, porzucania swego narodu dla łatwej kariery, uzyskiwanej z łaski rządu zaborczego.

Typową pod tym względem postacią komedii jost Grzegotka, nie tylko „miejska plotka”, ale uniżony wielbiciel nowych rządów, a gdy się zdarzy sposobność i donosiciel, jakich niemało wyhodować sobie musiała biurokracja austriacka. Grzegotka jest z tych, co zawsze mogą o sobie wyznać: „Nie ja pierwszy korzystałem z nieładu, nie ja ostatni będę czymsiś, że uważam skąd wiatr wieje. Mądry zawsze dobrze wyjdzie, ledwie bicza z piasku nie ukręci, byle się nie piął, tylko sunął...”. Taki oczywiście zawsze jest zadowolony, a gdy zapytamy go o przyczynę radości, odpowiada nieodmiennie: „Czemu się nie mam cieszyć? Nie mamże rozumu na poznanie niezmiennych korzyści, wynikających z naszego nowego położenia? W tym stroju (bo wszyscy meżczyźni pod „babskiemi rządami” wdziać musieli wiernopoddańczy strój: spódnice) mogę gadać, co mi się podoba... Mogę dowiadywać się, co gdzie, kiedy i jak robią — i co się dowiem zaraz powtórzyć... Nie potrzebuję udawać odwagi, której nie mam: mogę bać się, drżeć, truchleć, nawet zemdleć”.

A jest przed czym drżeć i truchleć. „Trzy stare, brzydkie baby” dają się tak we znaki podwładnym, że im wszystkim „gorzej niż w piekle”. A baby owe, rozważając swe dotychczasowe zdobycze w Osieku, wpadają w styl urzędowy austriackich odezw i orędzi: „Lubo w sercach naszych łaskawość i dobroć panuje, lubo łagodność, że tak rzekę, jest, że tak powiem, nam wrodzoną, lubo, mówię, jednak przedsięwzięcie roztropne głębokiej roztropności każe nam i rozkazuje jaknajkrócej trzymać naszych, tak nazwanych mężów... Czwarty już tydzień Osiek mądrością rządzony doznaje niezaprzeczonych, że tak się wyrażę korzyści.—Prawda mości Grzegotko?” Wiernopoddańcze wynurzenia chwalby „babskich” rządów zapewne znane były skądinąd galicyjskim czytelnikom komedii: „Trzebać mego potwierdzenia? Za małe mam oczy, bym się mógł dość napatrzeć... za mały język, bym głosił przyzwoicie sławę waszą, roztropność, powagę, zgodę i potęgę”.

W zestawieniu z tą chwalbą, tem jaskrawiej występuje idąca zaraz po tem satyra na szkolnictwo w Galicji. Plon jego był wówczas przerażający. Poziom umysłowy nie wyższy od przejętego z czasów saskich, a system wychowania bezwzględnie germanizatorski. Wszelkie próby podniesienia szkolnictwa przez wzorowanie się na szkolnictwie polskiem, o całe niebo wyższem w Królestwie i na Litwie, tłumiono skutecznie. Doskonale charakteryzuje Fredro stosunek rządu austriackiego do szkół w Galicji, w poniższym dialogu, jaki toczy się w fikcyjnym Osieku wśród jego „władczyń”: „Będąc dozorcą nauk, które mają obejmować w sobie razem sztukę czytania i sztukę pisania, jesteście przez to samo naczelnikiem oświecenia”. „Rozumiem: do mnie więc będzie należeć, mieć oko na pojętniejsze głowy: i jeżeli by się która wyszczególniła, przedstawić, zalecić...” „Nic, nic z tego. Żadnego protegowania rozumu, żadnej pomocy rozwijającemu się talentowi — to nie wasz urząd, to do was nie należy. Niech czytają, piszą i dosyć...”.

Jak przy tej sposobności można się było obłowić, wyznaje Grzegotka: „i o sobie pamiętać, to jest oświecenie, i tem można się najlepiej oświecić, można się Jaśnie oświecić”.

Po szkolnictwie kolej na stosunki w prasie ówczesnej. Można ją oddać jedynie w ręce Grzegotków, bowiem ci będą zawsze na usługi nowych rządów: „Później będziesz mógł wydawać jakie pisemko, gdzieby były nowinki, uwagi. Nad czem? Nad tem, czego nie rozumiemy”.

Nie mógł wreszcie Fredro pominąć sądownictwa. Było ono wyłącznie przez Niemców obsadzone, ulegało wpływom administracji, a pracowało źle, niedbale, przewlekle. Wszystkie te rysy uchwycił Fredro w przedstawieniu przewodu sądowego, przeprowadzonego przez władczynie Osieka: „Jest sprawa! — I nie mała. — Prędzej z nią, sądźmy.—Jakąż karę wybieramy? — Ależ wprzód trzeba zobaczyć kto jest winowajcą?” Winowajcą okazuje się kowal, ale że ten jest potrzebny jednej z władczyń, a ślusarzy w mieście dwóch, „zatem na jego miejsce ślusarz uwięzionym będzie. Dalszy wyrok potem będzie, jeżeli czas pozwoli. Widzicie, bałyście się sądów, otóż nie tak rzecz trudna, jak się zdawała — W samej rzeczy nigdybym się nie spodziewała, abym mogła tak prędko nauczyć się sądownictwa. — Co nam się sądem turbować, niech się winowajca turbuje”.

Chwila napisania komedii, rok 1826, to czas wzmagającej się działalności tajnych związków patriotycznych, skierowanych przeciw „świętemu przymierzu”, które choć szerzyły się po całej Europie, przecież w Galicji, pod bezpośrednią władzą Metternicha, czuć musiały cały ciężar ucisku policyjnego. Głęboka gorycz z powodu takich stosunków tai się na dnie następującej rozmowy uciśnionych mężczyzn: „Tu inaczej rzeczy idą. — A dobrze idą? — Pst, pst... bój się Boga człowieku, zgubisz nas obydwóch. — Między nami, po

cichu, powiedz, dobrze tu się dzieje? — Diaska tam dobrze, tylko cicho, dla Boga, cicho...”

A gorzka prawda zdaje się wyzierać ze słów jednej z władczyń: „Nikomu nie wolno tu być szczęśliwym, ani się smucić bez naszego rozkazu”.

„Gwałtu co się dzieje!” to słaba komedia, ale mocna chłosta, wymierzona systemowi rządów austriackich w Galicji, a zarazem ostra satyra na upadek ducha i godności osobistej wśród Polaków, na ich niedołęstwo, tchórzostwo i płaszczenie się wobec zaborcy, co jako rezultat niewoli było jaskrawym przejawem zawisłego nad Polską niebezpieczeństwa wynarodowiania się pod uciskiem napierającej niemczyzny.

Kraków ADAM FLIS

ZE ŚWIATA MUZYKI

BILANS UBIEGŁEGO SEZONU

BILANSY mają to do siebie, że są przeważnie nudne. Długie szeregi cyfr, pozycji i rubryk zrzadka przeplatane niezbędnem słownem — odstraszają na sam widok tytułu czytelnika. Na szczęście w dziedzinie muzyki, materjałem, z którego „zrobiony” jest bilans roczny, są nie tyle cyfry, ile refleksje retrospektywne. A przecież wszelkie spojrzenie wstecz zdąża do pewnych uogólnień; zatracają się kontury szczegółów, pozostaje przegląd idei a, jeżeli już — zdarzeń, to jedynie najbardziej dla okresu, „bilansowego” typowych i ważkich

Dobrze więc będzie jeżeli zrobimy na tym miejscu rewizję tych wypadków, sprostujemy, być może, własne pomyłki, złagodzimy sądy nazbyt ostre, nie zasłużone. Muzyka ma tę przedziwną właściwość że upoważnia do percypowania jej przez słuchacza — w sposób subjektywny.

Pisałem o tem niejednokrotnie nie tylko na łamach „Myśli Narodowej“. Wołałem możliwie jaknajdonośniej o należne operze narodowej względy i szacunek (nie tylko w sensie... moralnym). Sezon 1938/39 prowadzony przez pp. A. Dołżyckiego i Falkowskiego wykazał, że sprawa dalszego bytowania opery w Polsce nie jest beznadziejną. Długi szereg pomyślnych posunięć obecnej Dyrekcji spowodował że w r. b. poziom przedstawień podniósł się, wzmogła się i rekwencja publiczności stołecznej. Teatr Wielki wystawił w ub. sezonie kilka cennych premjer z „Harnasiami” Szymanowskiego na czele. Dał szereg wznowień operowych, że wymienie, nową inscenizację „Fausta”, „Rycerskści” i „Pajaców“. Utrzymał w repertuarze parę dzieł Moniuszki („Straszny Dwór” „Verbum Nobile”). Mniej udały się dyrekcji „Pani X” (utwór zbyt eksperymentalny) oraz „Książe Szirasu”. Z konieczności musiano dawać liczne operetki. Wymenimy najlepsze: „M-me Pompadour” „Kraina usmiechu” i ciesząca się sukcesem wyjątkowym „Dziewczę z Holandii”. U pulpitu dyrygenckiego stawali: Adam Dołżycki, Tyllia i Kubik. Staranną bardzo była p. Jewniewiczowa. Kilka sukcesów reżyserskich odniósł dyr. Witold Zdzitowiecki.

Przechodząc kolejno do życia koncertowego zatrzymajmy się przez chwilę przed gmachem Filharmonii Warszawskiej. Kiedy czytamy długą litanję nazwisk obywateli kraju, którzy w pełni zrozumienia dla sztuki zbudowali ten gmach i oddali go jesienią 1901 roku Warszawie, rumienić się należy, że dziś w odrodzonej ojczyznie los czołowej placówki artystycznej, jaką jest Filharmonja, stał się postokroć trudniejszy, niż przed ćwierć wiekiem. Nie jest to już tajemnicą, że członkowie orkiestry filharmonicznej, będący dyplomowanymi muzykami i mający za sobą po parę dziesiątków (i więcej) lat ofiarnej pracy w orkiestrze otrzymują niemal głodowe pobory (od 80 do 160 zł. mies.), dopiero dzięki interpelacji w Sejmie uzyskali w r. b. aż... 50 tysięcy rocznej subwencji. Jeżeli się o tem wie, trudno jest nie wyrazić naszym dzielnym filharmonistom szczerego uznania i podziwu dla ich pracy — dla bilansu sezonu 1938/39. Blisko 80 koncertów symfonicznych i „poranków” zawierało w programie dzieła i nazwiska wykonawców conajprzedniejsze. Dali się więc słyszeć: Egon Petri, Maréchal, R. Casadésus, R. Soëtens, France Ellegaard, Orłow, Dohnanyi, i Emil Sauer. Dyrygowali orkiestrą kapelmistrze zagr. tej miary co Abendroth, Georgesm, Hannikwinen, Emil Cooper. Z ekipy polskiej grali i dyrygowali. Walerjan Bierdiajew, Mierzejewski, Z. Latoszewski, T. Mazurkiewicz, Drzewiecki, Rabcewiczowa. Poranki niedzielne, o których wielkiem znaczeniu już pisałem, dały możność poznania szeregu młodych sił artystystycznych jak Lewiecki. Ilwicka, Lipkowska i wiele innych. Poranki są zasługą długoletniego dyrygenta Filharmoni, Józefa Ozimińskiego.

Żałobny sztandar oznajmił nam o świerci Romana Chojnickiego, od kilkunastu lat, kierownika artystycznego F. Warsz. Powiewał on również z okazji zgonu prof. Aleksandra Michałowskiego i ulubienicy Warszawy, Stanisławy Korwin-Szymanowskiej.

Wreszcie w Filharmonii odbyły się czołowe koncerty Międzynarodowego Festivalu Muzyki Współczesnej, któremu w swoim czasie poświęciliśmy bliższą ocenę na łamach „Myśli”.

O wiele mniej ożywioną była tegoroczna działalność dyrekcji koncertów Henryka Maskiewicza w konserwatorjum.

Nie wiedzieć dlaczego, większość artystów zagranicznych, jacy przewinęli się ub. przez estradę Filharmoni omijało — konserwatorjum i opuszczało Warszawę bez recitalu. Również i liczba recitali polskich solistów była znikomą.

Tem nie mniej wymienić należy nieliczne, wartościowe koncerty w sali konserwatorjum; a więc inauguracyjny recital Sztompki, występy Nadi Brankowicz, Horszowskiego, Colette Gaveau, śpiewaczki litewskiej Jonuszkajte, wieczór Małcużyńskiego. Raz jeden grał w tej sali Ignacy Friedman, odnosząc rzetelny triumf. Nie możemy atoli zozumieć, dlaczego nie odbyły się recitale France Ellegaard, Petriego, Dohnany'ego i tylu innych, na które

Warszawa muzykalna czekała z niecierpliwością. Zwłaszcza zaś na recital swego ulubieńca Roberta Casadèsus'a.

W niewielkiej ale akustycznej sali Y. M. C. A. przy ulicy Marji Konopnickiej urządzało „młode" Stowarzyszenie pomocy Młodym muzykom co dwa tygodnie swoje ciekawe audycje. O zasługach organizatorskich twórcy tego Stowarzyszenia, profesora Jerzego Żurawlewa danem mi było pisać już parokrotnie. Dodam więc jedynie że na „wtorkach" w Y. M. C. A. nie usłyszeliśmy ani jednej miernoty, a nazwiska młodych artystów stały się znane naszemu ogółowi i krytyce, która chętnie uczęszczała na te koncerty. Z pianistów: rozwijają się najpiękniej talenty p. Marji Ogilbianki i Grzybowskiego, mniej przekonywające wrażenie zrobiła na nas gra Bereżyńskiego i utwory pianisty-kompozytora, p. Knappa. Wieice obiecującym jest młody dyrygent, p. Wilczak.

Należy tu również wspomnieć o 9 audycjach użytecznego bardzo T-wa Muzyki dawnej, które przekonało się ostatnio, że, nie wychodząc poza ramy klasycyzmu, można zapełnić programy bez obawy, aby materjału muzycznego zabrakło. Z braku miejsca ograniczamy się jedynie kilkoma słowy szczerej zachęty do dalszej działalności T. D. M.

Z pośród talentów i zdolności, jakim mogliśmy się przyjrzeć w innych salach i salkach koncertowych wyróżnić należy bardzo wartościowy głos p. Józefa Naruszewicza, stworzony do wielkiej sceny operowej, kulturalną grę, p. Lipkowskiej i Olgi Iliwickiej. Z pośród wybitnych śpiewaczek naszych zbyt rzadko słyszy się sopran p. Sławy Orłowskiej — Czerwińskiej, również rzadko daje się słyszeć na estradzie Kama Norska-Górecka i Michałowski.

W związku z zawieszoną w powietrzu Operą naszą nie występuje oddawna sopranistka, Maryla Krzywiec, nie słyszy się Beaty Bragińskiej ani Leskiej.

Jesto z pewnością rezultatem ograniczenia naszych scen operowych do dwu (Warszawa i Poznań). I te zresztą zmuszone są pójść na rękę t. zw. szerokiej publiczności, dając około 50% przedstawień o charakterze lżejszym.

Wreszcie kilka słów oceny należy się teatrowi „8,15" który — dzięki doskonałym pomysłom reżyserskim Witolda Zdzitowieckiego „mocno stanął na nogach" i zdołał sobie zdobyć własną publiczność,

Długotrwałym sukcesem cieszyły się w ubiegłym sezonie liczne operetki, zwłaszcza zaś „Krysia Leśniczanka", „Skowronek" a obecnie, w sezonie letnim — „Baron Kimmel".

Wkraczamy w okres popisów warszawskich uczelni muzycznych — jest to ostatni etap sezonu. Dwa wieczory w sali Filharmonii dało Państwowe Konserwatorjum, Szkoła im. Chopina, Studia fortepianowe Bukina, R. Micewskiego i inne.

Zwłaszcza — adeptom śpiewu życzyć należy wiary w lepszą przyszłość. Oby jaknajrychlej Polska mogła się poszczycić przynajmniej taką ilością scen operowych ile liczy wielkich miast dzielnicowych. Dobrej muzyki i śpiewu nigdy nie będzie zbyt wiele.

ASPER

PIES I WILK

(LA FONTAINE: *FABLES* I, 5)

Wilk, któremu przez skórę widać było gnaty,
Tak psy dobytku broniły,
Spotkał brytana, co piękny za katy
I równie wielkiej siły,
Spasiony, jakby ociekając tłuszczem,
Przypadkiem zaszedł w puszczę.
Napaść, podrzeć go w kawały
Szczerą wilk ochotą płonie.
Ale wdać się w bój zuchwały?
Pies mocen sprostać w obronie,
Jeszcze wpędzić mógł w opały.
Więc uniżone przybrawszy maniery,
Wilk zaczyna rozmowę, prawi mu dusery,
Nie może wyjść z podziwu dla wspaniałej tuszy.
— Zechciej sam tylko, pies mu odpowiada,
Wnet ci się kałdun jak i mnie wybrzuszy.
Ale nie w kniei, bo cóż tu za rada?
Patrz na swoich kompanów, same biedne licha,
Chudziny, golce, łachudry,
Wszystko to z głodu pozdycha.
Nigdzie spokoju, ni gotowej strawy,
Z wszystkimi trza iść na udry.
Lepiej chodź ze mną, a los ci będzie łaskawy. —
Wilk na to: — cóż mi tam czynić wypada?
— Prawie nic, pies odrzecze, w łydki człeka godzić,
Który w garści kij nosi, prześladować dziada,
Pochlebiać domownikom i panu dogodzić.
W nagrodę za to
Dostaniesz niedogryzków zastawę bogatą,
Kosteczki kurcząt i gołębi,
Nie licząc pieszczot, kiedy cię pogłasną. —
Wilk był wzruszony do głębi,
Roztkliwiał się nad przyszłą szczęśliwością własną.
Po drodze sierść na szyi psa dojrzał wytartą.
— Cóż? — Nic. — Jakto? Nic? — Mówić nie warto. —
— Cóż to jednak? — Może to pochodzi
Z obroży, którą wiążą mi na szyi co dnia. —
— Wiążą?—wilk pyta—Waćpan nie biega swobodnie
Kędy zechce? — Nie zawsze. Ale cóż to szkodzi? —
— Szkodzi i całkiem zmienia rzeczy postać.
Nic mi po waszych smakołykach.
Jakiż skarb mógłby takiej cenie sprostać? —
Po tych słowach wilk zemknął i aż dotąd zmyka.

przełożył STANISŁAW KOMAR

NA WIDOWNI

O tem jak dziadek Gdańsk zdobywał. — Nie rozumiano Polski bez Gdańska. — Trudy pochodu i oblężenia. — Pogrzeb bohatera. — Mowa Sapiehy. — Radość w Warszawie.

GDY tyle myśli się teraz o Gdańsku, żywo stają mi w pamięci opowiadania domowe o moim rodzonym dziadku, Józefie Wasilewskim, który w r. 1807 chodził na czele pułku Gdańsk zdobywać.

Ojciec mój był małem dzieckiem, kiedy go dziadek mój w r. 1831 odumarł. Tradycje szły przez starszego brata, mojego stryja Leonarda, który jako kadet szkoły kaliskiej z ciekawością opowiadań ojca swego wysłuchiwał.[1])

Stopnia pułkownika dziadek dosłużył się w legionach. W kampanii napoleońskiej na Moskwę był już generałem. Wówczas zaś, w r. 1807, stanąwszy na wezwanie Napoleona u boku przyjaciela swego gen. Dąbrowskiego, wyszykował pułk, z którym ruszył na Pomorze.

Dąbrowski, mając koło siebie wypróbowanych legionistów, natchnął swoją armię, z 6.500 ludzi złożoną, nadziejami i wiarą. „Ten rok 1807 — mówił do wojska — jest pierwszym, w którym każdy z was życie swoje poczyna".

Jak pułki oddano szefom ze szlachty zamożnej, tak też całą armię powierzono szefostwu ks. Poniatowskiego dla celów raczej reprezentacyjnych. Duszą jednak wojska całego i całego narodu nadzieją był Dąbrowski, który wespół z Wybickim Józefem, pomorzaninem, potrafił poruszyć Poznańskie i w pierwsze poczynania odradzającej się Polski wprowadzić tę zdrową myśl polityczną, że bez oparcia o morze nie ostoi się żaden polski twór państwowy.

Ideę tę rozumiał w swoim interesie Napoleon, skoro w oparciu o Polaków miał zwyciężyć Prusy i Rosję. Zaczął od Gdańska, aby zabezpieczyć sobie dostęp do morza i zepchnąć stamtąd Prusaków. Ustąpili oni z Polski, ale Pomorza puścić nie chcieli. Wiedzieli, że tu ich twierdza wypadowa na Polskę. Świeże oddziały odrazu poszły w bój z przemożnemi siłami rosyjskiemi i pruskiemi. Znalazłem z tego czasu odręczny rozkaz Dąbrowskiego tej treści:

Z Głównej Kwatery w Świeciu, 24 stycznia 1807.

Do Pułkownika Wasilewskiego.

Już pisałem jeden list do Ciebie do Stredeni z rozkazem, rozumiejąc, że tam będziesz miał nocleg, żebyś fury spędził i wszystkich strzelców kap. Gołaszewskiego na nich do Świecia natychmiast transportował. Jeżeli tedy jesteś przypadkiem w Topolni masz toż samo exekwować.

Dąbrowski

Zachował się też rozkaz szefa sztabu Maurycego Haukego:

„Taszewo, d. 9 lutego 1807.

Do Wielmożnego Półkownika Wasilewskiego.

Uwiadamiam WPółkownika, iż batalion 1 odebrał rozkaz udania się do Rulewa, gdzie dalsze Jego rozkazy odbierze i tam na miejscu batalion Hessów zostanie. Batalion ten pomaszeruje zaraz za Wisłę dla blokowania Grudziądza. Stosowne do tego rozkazy odbiera.

Moskale pobici uciekają na gwałt — 10.000 niewolnika i znaczną część artylerii im zabrano. P. Półkownik Fiszer z Batalionem swoim i z detachementem kawalerii Rotmistrza Piaseckiego zostali w Lublinie".

Hauke, szef sztabu.

Wreszcie rozkaz marszałka Lannes:

Il est ordonné á Monsieur Wasilewski Colonel Inspecteur non seulement d'organiser les régiments Polonais tant Infanterie que Cavallerie, suivant les ordres du gouvernement Polonais, mais je le charge en outre de faire rendre un compte èxact des contributions que plusieurs chefs, particulierement Mr. le général Sokolnicki, ont faites dans differents endroits. Les sommes doivent en être versées dans la caisse générale pour que je puisse en rendre compte au gouvernement français attendu que les contributions ont été levées sans ma patrticipation et sans ordres de la Majesté Impèriale et Royale.

Au quartier général á Prust le 16 mars 1807.

Le Maréchal d'Empire Lannes.

Dokumenty powyższe kierują nasz wzrok na drogę do Gdańska. Wasilewski prowadził pułk 4-y w armii marszałka Lefebra. Krwawy to był pochód: wielkie cierpienia z powodu mrozów a potem wilgoci w okopach, duże straty. Trudno sobie uprzytomnić rzeczywistość z paru suchych słów w liście służby pułk. Wasilewskiego, gdzie o kampanii 1807 r. powiedziano tylko: „znajdował się przy oblężeniu twierdz Grudziądza i Gdańska". A przecież to „znajdowanie się" trwało od końca stycznia do czerwca, a każdy dzień był ciężki.

Dla przykładu przytoczę utarczkę pod Grudziądzem z owych dni lutowych, w których pisane były rozkazy powyższe. Żeromski tak ją opisuje według relacji zapewne Am. Kosińskiego:

„Główny korpus wojska gen. Dąbrowskiego nieustannie szedł naprzód. Znajdował się już na wysokim brzegu Wisły, skąd widać było po tamtej stronie rysujące się w dwumilowej odległości mury Grudziądza i Kwidzynia... Przyszło do bitwy. Dywizja polska musiała się w niej cofnąć przed nieprzyjacielem, który z drugiego, prawego brzegu Wisły przeszedł po lodzie. Grad kul sypała artyleria konna pruska, stojąc na prawym brzegu Wisły, w młodą piechotę polską. Batalion pierwszy regimentu trzeciego pod wodzą Fiszera i batalion pierwszy regimentu czwartego pod pułkownikiem Wasilewskim zostały napadnięte bagnetami. Pomimo całej nieumiejętności, braku skałek i nabojów młode wojsko zdołało bronić się przez cały dzień i odpierało napaść ile mogło. Pierwszy to raz sześciu trupów, poległych na placu, nocną porą zakopała wiara w zmarzłą grudę. Kilkudziesięciu rannych wyniesiono z szeregów. (Żeromski „Popioły", t. II).

Dąbrowski pisał do Zajączka z Gniewu 3 kwietnia: „My tu zawsze posuwamy się pod Gdańsk. Moi polacy mają pocztę (służbę) najniebezpieczniejszą i najważniejszą i codzień biją się".

Oddziały polskie nie były dostatecznie wyekwipowane, zbywało im na odzieży i pożywieniu. Cierpieli i marnieli po wilgotnych okopach w najgorszą porę roku. Oblężenie regularne Gdańska trwało od marca do końca maja. Polacy stali w sa-

[1]) Dane historyczne, przytoczone w tym szkicu, zebrałem na użytek biografii dziadka Józefa, którą wydałem w Warszawie w r. 1930 pt. „Wnukom o prapradziadku".

mym środku linii oblężniczej. Dzielnością swoją, wytrzymałością i brawurą wybili się na pierwsze miejsce w armii francuskiej. Ożywiała zaś ich myśl, że walczą o polskie morze.

Kiedy w bitwie pod Wisłoujściem zginął młody, bohaterski Antoni Parys, na pogrzebie jego przemawiał od wojska Al. Sapieha w te słowa:

„Prowadzcie wzrokiem z tego wzgórka, rzućcie okiem na ów Gdańsk, którego teraz przywróceniem Ojczyźnie zatrudniacie się, rzućcie okiem z drugiej strony na nieprzyjazne Pomorza niwy wiarołomstwem wydarte. Widzicie tam niestały element, te niezmierzone okiem przestrzenie Bałtyku: to było naszą własnością za Zygmuntów. To wszystko sławne przodki nasze w straż ojców oddali i to wszystko ich niedbałością stracone, waszemu odzyskaniu jest powierzone... Usypawszy mu (Parysowi) rękami naszymi mogiłę, może kiedyś los przestanie nasz nękać. Polak powrócony do dawnego bytu, obstąpiony swoją rodziną, wskazywać jej będzie ten grobowiec, jako ślad zasług naszych i jako naukę, jak wiele kosztuje odrodzenie się upadłego Narodu".

W wojsku polskim pod Gdańskiem historyk znajdzie nie tylko patriotyzm i cnotę rycerską, ale także znaczną wiedzę wojskową. Dobrą szkołę przeszedł pułkownik Wasilewski w Szkole Rycerskiej, gdzie starannie uczono sztuki stawiania twierdz i zdobywania. Taki szef sztabu dywizji polskiej, Maurycy Hauke był uczniem słynnej szkoły artyleryjskiej (gdzie uczył się również Hoene-Wroński) i słynął jako inżynier wojskowy. Służył on również w Legionach włoskich.

Po zdobyciu Gdańska Giełgud donosi Napoleonowi, że Polacy ze swych 6.500 ludzi utracili 2.000. Polacy, wkraczając po kapitulacji do Gdańska, zajmowali honorowe miejsce. Było to 27 maja 1807 w pogodny dzień wiosenny, jak przed dziesięciu laty, gdy wkraczano na Kapitol... W pełnej paradzie z huczną kapelą szły na przedzie oddziały polskie, a za nimi francuskie.

Warszawa na wieść o zdobyciu Gdańska oddawała się radości. Widziano w tym początek odbudowy Polski, wszystkie domy iluminowano.

Prezes Komisji Rządzącej, Małachowski wystosował do Napoleona pismo, aby Gdańsk przyłączono do Polski. Niestety, nadzieje te zawiodły. Układ Tylżycki, tworzący okrojone Księstwo Warszawskie bez Prus Królewskich i bez Gdańska, uczynił z niego wolne miasto.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIE ŻYDOWSKIE, ALE POLSKIE

OBÓZ narodowy był zawsze (i ani na jedną chwilę nie przestał nim być) obozem przeciwstawiającym się Niemcom — nie trzeba chyba tego udowadniać. Ale trzeba to jednak przypomnieć rodzimej (rodzimej jak rodzimej...) „demokracji", która nie może zrozumieć, myśląc kategoriami swojej, zastarzałej mocno doktryny, w jaki sposób nacjonalizm przeciwstawiać się może nacjonalizmowi. Bo dla „demokracji" Niemcy republikańskie, podpisujące ręką ministra Waltera Rathenaua układ z Moskwą w Rapallo, były wcale sympatyczne, reprezentowały przecież liberalizm, a w Moskwie ówczesnej po „Caracie" zostały tylko wciąż zacierane ślady pamiątek. I nic to, że układ w Rapallo był dalszym ciągiem sojuszów, którym początek dał Fryderyk Wielki, znoszący się z Katarzyną, czy które w tak wyraźnie antypolską formę oblekły się, jak ów z roku 1887-go, poprzedzony na kilkanaście lat przedtem konwencją Alvenslebena. Nie układały się przecież roku 1922-go monarchie, ale z jednej strony republika, z drugiej związek sowieckich republik rad. Sympatyczne też były dla „demokracji" Niemcy Stresemanna, szczególnie czasu jego politycznego flirtu z Briandem, uwieńczonego pokojową nagrodą Nobla. Nienawiść wybuchnęła dopiero, gdy nastały dni III-ej Rzeszy. O co więc właściwie chodziło? Bardziej o Polskę, czy o abstrakcyjnie, doktrynalnie pojętą wolność, antyrygoryzm?.

Jeśli, mimo ustawicznego zdawania sobie sprawy z wieczystości wrogich nastrojów obu narodów, można było wyczuć z naszej strony pewne wyrazy uznania dla ruchu narodowo-socjalistycznego, to dyktowane były one nadzieją, że hitleryzm będzie jednak bardziej europejski od socjalizmu, kierowanego mózgiem przybyszów z Azji Mniejszej, wędrujących po Europie w wiecznej ucieczce przed prześladowaniami i w wiecznej pogoni za złotem i władzą. Nadzieje okazały się płonne. Dzisiaj nie mamy już żadnych złudzeń. Trzecia Rzesza jest tylko i wyłącznie germańska. Wypowiedziała zdecydowaną walkę jedności cywilizacji europejskiej, niszcząc jej zasadniczy fundament — moralność opartą o stosunek do Boga, oraz uderzając raz wraz w zasadnicze elementy, jak poszanowanie jednostki, rodziny, w miejsce której wprowadza się i propaguje życie stadowe. Jakież to wszystko, w gruncie rzeczy, przykładanie topora do pnia życia narodowego! Bytowanie poza rodziną nie wytworzy zdrowego typu, a walka z prawami naturalnemi musi doprowadzić do reakcji. W obłędnem dążeniu do materialnie pojętej wielkości, odmierzonej tylu a tylu to milionami ludności, niszczyć potencjał duchowy tych milionów?. Krok to doprawdy samobójczy.

A więc do dyktowanej instynktami postawy antyniemieckiej, sformułowanej bogatą literaturą polskiego narodowego obozu, dochodzi i walka o nasz typ cywilizacji. Niechaj się więc „demokracja" naszym rzekomym konfliktem wewnętrznym nie martwi. Ani przez chwilę. I niechaj wie, że jesteśmy zarówno antyniemieccy, jak i antyżydowscy.

Są pewne czynniki, oczywiście owe „demo-

kratyczne", któreby pragnęły pogotowiu naszemu nałożyć wyraźną maskę pogotowia żydowskiego. Ale to się, mimo wysiłków, nie udaje zupełnie. Sami żydzi swą postawą dowiedli, że nie są skłonni do żadnych ofiar. A może ma być „nasza krew a ich nafta"? Nie. W żadnym wypadku. Nigdy.

Jesteśmy w pogotowiu, ale jednocześnie walczymy o jego polskie oblicze. Tylko. Wyłącznie. I walczymy — chwała Bogu — skutecznie.

CO TO JEST OJCZYZNA?

WKŁADNIE zabito niemieckiego żandarma. „Łaskawy protektor" von Neurath nakazał surowe represje. Moment to dla historii narodu czeskiego arcyważny. Czechy wchodzą w okres martyrologii.

Naród czeski przeżył paręset lat temu wielką tragedię. Zniszczeniu uległo nie tylko państwo ale zdawało się, że i on sam. Bezpowrotnie. Przyszedł jednak okres „wiosny ludów" i w swych niższych warstwach począł się odradzać, przybierać z powrotem odrębny wyraz.

Proces ten jednak nie posiadał momentów ostrej walki — miał przebieg łagodny. Wraz więc z odrodzeniem narodowego poczucia, dzieła wieku XIX-go, poczęły wsiąkać w charakter czeskiej społeczności wszystkie te cechy ujemne, które naniosło owe stulecie. Ujrzał więc świat na nowo Czechów ale jakże dalekich od bohaterskich, walecznych postaci. Jana z Trocnowa Żiżki, Prokopa Wielkiego czy Jerzego z Podiebradu! Jedyne podobieństwo między wodzem Żiżką a wodzem gen. Syrowym jest to, że i jeden i drugi nie miał jednego oka. Ale Żiżka i drugie stracił w walkach bezustannych, podczas gdy gen. Syrowy tym drugim bada zyski Towarzystwa Ubezpieczeniowego, którego został był właśnie prezesem.

Pozytywistyczny, materialistyczny naród czeski w swej całości odpowie przed potomnością choćby za to, że na kierowników swego losu wybrał takie kreatury jak Benesz, Hacha, Chwalkowsky, Syrowy i im podobnych. Tu zawinił. Bardzo zawinił.

Obecnie widzi już co to jest ta ojczyzna, jaka to wartość bezcenna. W męce narodowej walki poczyna odnajdywać swój prawdziwy wyraz, uczy się poświęcać siebie dla treści słowa Czechy, a nie treść oraz istotę tego słowa dla doczesnej wygody swojego życia, jak było dotychczas. Pozna, że wyrażenie „krew złożona na ołtarzu ojczyzny", nie jest jakimś frazesem.

Naród czeski oczyszcza się w dniach ciężkich, które idą, hartuje swój charakter. Jeśli mu go starczy, doczeka się dnia radosnego, pełnego życia, jeśli nie — skazany jest po raz drugi na zniszczenie.

Wierzymy, iż wyrok śmierci i tym razem nie zostanie wykonany. Nie możemy zresztą do tego dopuścić, my Polacy. Nasza rola w Europie, nasza racja stanu nie zezwoli na rozpanoszenie się Niemców w krajach „protektoratu", krajach zachodniej Słowiańszczyzny. Stajemy wobec historycznego zadania utworzenia protektoratu duchowego nad odradzającym się — chcemy, musimy tak wierzyć — narodem czeskim. Odradzającym się w męce, której mu brakło.

PLAN GENERAŁA EPPA

WKSIĄŻCE „*Der neue deutsche Krieg*" Helmuta Klotza, wydanej w Paryżu, znajdujemy dział: „Nowe niemieckie plany operacyjne".

A więc przede wszystkim tak zwany „Epp-Plan", którego celem jest opanowanie krajów położonych nad kanałem i morzem Północnym dla umożliwienia zagrożenia Anglii ze wschodu i Francji z północy, przez zajęcie południowego Limburga — zagłębia węglowego Holandii. Uderzenie w kierunku miast Zwolle i Meppel podzieli Holandię na dwie części umożliwiając obejście fortyfikacyj belgijskich. Odległość granicy od Zuidersee wynosi 50 klm.

Podług planu gen. Epp'a będzie Holandia w ciągu 24 godzin obezwładniona i brzeg morza opanowany. Gen. Epp dodaje, że „ryzyko wojny jest zbyt wielkie aby sobie pozwolić na luksus dyplomatycznych pertraktacji". Marsz przez Belgię będzie z prawego flanku oparty o morze. Zajęcie tej pozycji umożliwi również atak lotniczy na Anglię. Równocześnie opracowany był plan opanowania Szwajcarii. Od roku 1933 w grach wojennych dla wyższych oficerów armii niemieckiej rozwiązywane jest zagadnienie nagłego zajęcia Szwajcarji do linii Yverdon-Thun-Lucerna-Sargans. W obrębie tego terytorium są położone wielkie zakłady przemysłu wojennego. Dywizje niemieckie mają przekroczyć granicę około 2 w nocy z soboty na niedzielę.

W ciągu godziny mogą zająć Zurich (25 klm. od granicy) Wintertur (20 klm.), Olten (25 klm.) Salatturn (40 klm.), Basel, Bern (80 klm.). W godzinach rannych cała operacja będzie ukończona. Równocześnie dywizje szturmowe przez Bramę Bugundzką i Jur dojdą do Montbilliard i obejdą Belford.

Trzeci punkt planu przewiduje opanowanie morza Bałtyckiego celem zapewnienia sobie swobody ruchów w stosunku do Polski, państw Bałtyckich, Szwecji i Rosji i zamknięcia dostępu z Atlantyku.

Chodzi o zamknięcie Małego i Dużego Bełtu i Sundu. W tym celu planowane jest opanowanie Danii, która jest również dostawcą produktów żywnościowych.

Na opanowanie Danii jest przewidziane 48 godzin. W ten sposób osiągają Niemcy możność kontroli nad brzegami Szwecji, dostawcy żelaza, drzewa i surowców dla fabrykacji gazów trujących (arsen). Już w 1934 zakupiły Niemcy całą produkcję (50 tys. ton) arsenu, Z 50 tys. ton arsenu można wytworzyć 128.500 ton gazu clark II lub 139.000 ton adamsitu lub 87.000 ton lewisitu. Surowce są dostarczone do portu Narvik i dalej przez Skagerrak i Kattegatt do Niemiec.

Ciekawym faktem jest, że w książce wspomnianej wydanej w 1937 roku przewidziane było jako punkt D zajęcie Czechosłowacji, które już się dokonało na naszych oczach.

Jeden z działów książki poświęcony jest wojnie bakterjologicznej. W tym celu Niemcy hodują bakterię zwaną „Milzbrand Spore" (księgosusz). Jest ona wytrzymała na zmiany temperatury i ciśnienia. Działa paraliżująco na płuca i przewód pokarmowy. Może być rozlewana z samolotów

w dowolnych ilościach. Jest niesłychanie zaraźliwa. Bydło zarażone musi być zakopane w jamy 3 metrowej głębokości, oblane wapnem niegaszonem i zasypane ziemią. W ciągu 2 lat dostęp jest wzbroniony. Takie są dotychczasowe przepisy sanitarne. Środka radykalnego na tę zarazę nie ma.

Płyn zawierający bakterje może być wyrzucony z samolotów z wysokości 4000 mtr. w szklanych kulach, lub rozlewany za pomocą spadochronów z automatycznie pracującemi naczyniami.

NAUKA I LITERATURA

NAJMŁODSZEMU POECIE

Robiłem już kiedyś ciche wyznanie, że nie mogę pisać o poezji. I to nie dlatego, że poezji nie lubię, ale właśnie dlatego, że ją kocham. I cóż na takie uczucie można poradzić? Lepiej się do niego odrazu przyznać.

Z generacji najmłodszej specjalny sentyment czuję do utworów Bąka, Dobrzyńskiego i Pietrkiewicza. Może właśnie dlatego, że ich poezję zasadniczo się od siebie różnią. Bąk— to sprężona, skoncentrowana myśl, walcząca o wciąż doskonalszą formę. Chropowatość utworów Bąka nie stanowi ich wady, jest natomiast miarą sumiennej pracy poety. Bąk jest nieoszczędny jak natura: gotów jest spalić cały las, aby upiec przy tem ognisku dziesięć kartofli. Nie znam techniki pisania tego poety, ale wyobrażam sobie, że bierze rozmach na poemat, zaś kończy... dwunastowierszem. Bąk, walcząc o formę, stał się właśnie cyzelatorem formy.

Inaczej Dobrzyński. Tego rozrywają wewnętrzna prężność i siła. Forma musi gonić treść, aby jej nie zgubić. Poeta — niestety — czasami zaczyna się interesować formą i wtedy wiersz nabiera sztuczności oraz nienaturalności. (To, co piszę, będzie prawdopodobnie dla wielu poetów i krytyków poetyckich straszliwem horrendum. Cóż robić? — Tak właśnie myśli szary konsument poezji). To też najlepszemi utworami łódzkiego poety są te — jak np. „Alkazar" — gdzie uczuciowe napięcie sprowadziło do zera (przynajmniej w drugiej części wiersza) technikę wierszowania.

Poeci są między sobą niewymierni, a ja nie ośmieliłbym się tu głosić żadnych kanonów sztuki poetyckiej (sam, nawiasem mówiąc, nie napisałem nigdy w życiu nawet dwuwiersza). Bąka poezje są śliczne właśnie dlatego, że wyziera z nich wysiłek twórczy, piękno natomiast poezji Dobrzyńskiego leży w wyzwoleniu żadną formą nie ujarzmionej siły.

Jeszcze inaczej jest u Pietrkiewicza [1]). Naprzód jest tam dużo wsi, słońca, pyłu, turkotu furmanek, białych obłoków i równie białych, furkoczących gołębi. Wiersza nikt nie wykuwa, ale on sam płynie jak strumyk, a w jego przezroczu odbijają się jaskry, malwy czy maki. Potem, w miarę wesoły i w miarę smutny wiersz — ot, taki, jak wiejska piosnka — ujęła twarda klamra miasta. Mury miasta ciążą płucom, człowiek chciałby wrócić do Rypina, do Fabianek, do Borku. Lecz coś go trzyma. Co?

„Pod stajenką
nie z lirenką
ale z mieczem przytroczonym do galopu konia
nadjechać trzeba..."

Widnokrąg, spętany dotychczas czarem wsi dobrzyńskiej, zaczyna się rozszerzać. Już nie Dobrzyń nie Działyń nie Borek, ale Kraków, Bałtyk, Karpaty pojawiają się na strofach wiersza. Zduszone piersi odnajdują potrzebne sobie powietrze. Poeta woła:

„... Tu
płucom szerzej..."

Wiersz przestał się sączyć jak strumień. Wzbiera siły, rwie brzegi, wybucha gromem kaskad. Wieśniacza tkliwa nuta wbrew sobie zaczyna nabierać innych tonów.

„Ja syn słonecznych wiatrów, lirycznych zagród i lnu
wiejską, pasiastą piosnkę zdzieram z mych chłopskich słów!"

Przemiana, która się dokonała w poecie, nie jest więc tylko przemianą zewnętrzną: nie wpłynęły na jej powstanie okoliczności ale świadoma praca. Bąk czy Dobrzyński są ludźmi miasta. Jeden intelektualista, drugi wychowany wśród dymów fabryk, nie mają z czym zrywać, aby uderzyć w najgórniejszą nutę poezji. Pietrkiewicz dźwiga na sobie dziedzictwo wsi. Opętała go ona swoją barwnością.

„... Nam się marzyło, że z ojczystego błękitu
dla dusz zrobimy mundury,
że epolety będą z wiejskich słoneczników..."

I tej barwności i tym marzeniom Pietrkiewicz wypowiada walkę:

„Jakże mi wielkość śpiewać mową osłabłą od piosenek?
Kwiatki liryczne nie zmienią kierunku wiejących burz!
— — — — — — — — — — — — — — —
Poeto inaczej twórz!

Nagle do poety poczyna przemawiać historia. Nie ta ostatniowiekowa, którą tak chętnie karmią się ludzie dyskontujący na swoją korzyść jej treść, ale wielka historia, stanowiąca własność nas wszystkich. Poeta — jak turysta — zastanawia się nad ruinami dziejów i z obalonych — lecz wciąż żywych pomników — odczytuje niezatartą treść.

„Lata tu były jak wiatr,
lata tu będą jak wiatr...
Jeśli z cegieł opadną daty rycerskie jak tynk,
odsłonią groty piastowskie i jagiellońskie podkowy,
z ziemi zadymią bitewne dzwony.
„*Te Deum*" na szlakach krzyżowych".

Rzecz ciekawa i dla naszej chwili bardzo charakterystyczna: w poecie nie ma roztkliwiań się nad rzeczywistością, ale, przeciwnie, burze gniewu i marzenie o innej przyszłości. Pietrkiewicz należy do pokolenia, któremu nie wystarczy, że Polska jest, ale chciałby tę Polskę widzieć w ciele olbrzyma. Politycy skroili granicę na miarę swych małych serc i ubrali bramy domów w biało-czerwone sztandary. Ale

„... sztandary wiejące z dachów
dla naszych oczu za nisko!"

a

„Jedno wiedz, że granice Ojczyzny nie zmieszczą.
Wodzowie je wyznaczą a poszerzą wieszcze".

Dla tego dziecka wsi, które swą wiejskość w sobie zabiło, by obudzić Polskę, istnieje tylko jedna modlitwa:

„Wielkości, przyjdź królestwo twoje!"

Kto sięgnął myślą ku wielkości, temu nie obcą stanie się wieczność. Myśl o wieczności z pragnieniem wielkości splecione są nierozdzielnie. Poecie, wpatrzonemu miłośnie w Ojczyznę, Bóg wyrasta początkowo przed oczami w iglicach wież kościelnych:

„Zrozumcie, że wieczność żyje na każdej kościelnej
wieży,
że słońce wschodzi Ojczyzną!"

A potem pojawia się najpiękniejszy z poematów Pietrkiewicza: „Matka Boska". Warto nań zwrócić uwagę, gdyż obok doskonałej, poetyckiej modlitwy p. t. „Mój Bóg" Bąka stanowi on, pełen dziwnego uroku, wybuch uczuć religijnych u przedstawiciela młodego pokolenia. I znowu świętość uczuć łączy się z gorącą miłością do Polski.

---

[1]) Jerzy Pietrkiewicz „Wiersze i poematy" str. 162, wyd. tygodn. „Prosto z mostu", Warszawa 1938 r.

„Matka Boska przyjechała do Polski!
W Częstochowie chodzi po murach,
widać co nocy białą mgłę.
W Skępem siada w Borku na murawie,
łaszą się drzewa bure,
trawa ociera łzy.
Cisze chodzą po Skępem jak pawie.
Rano —
w Ostrej Bramie..."

*

Drogi Jurku (niech mi wybaczą czytelnicy, że ta recenzja przemienia się w list), Twój poemat stał się dla mnie czemś wyjątkowo drogiem i aż mi głupio, że zacząłem o nim pisać, strojąc się w piórka krytyka, gdy wobec modlitwy krytyk powinien tylko milczeć. Ale w równej mierze przemawiają do mnie Twoje surowe słowa, skierowane do poezji polskiej:

„Upraszczano twój nurt kolorowy drzew jednostajnym szumem,
kazano się tobie uśmiechać zmysłowymi wargami kobiet..."

Masz rację. To też, gdy dumam nad żarliwą pięknością tamtego poematu, pytam się sam siebie, po co piszesz — i czy raczej nie powinieneś zdusić w sobie słów, które brzmią:

„... O wiotką pieśń — pocałunek
proś na miłości klęczący.
Oto jest łaska uświęcająca —
ratunek"?

JAN DOBRACZYŃSKI

POLSKA AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI

DOROCZNE uroczyste posiedzenie Akademii w d. 9 czerwca rb. otworzył nowy (po śmierci śp. Wróblewskiego) prezes prof. Kutrzeba. Stanowisko sekretarza gen. po Kutrzebie zajął prof. Tadeusz Kowalski.

Roczne sprawozdanie wykazało postęp w pracach Akademii. W ciągu roku np. wydrukowano 848 art. prac naukowych, gdy w r. ub. tylko 538. Akademia otrzymała z zapisu śp. Stan. Sozańskiego majątek ziemski w Samborszczyźnie (6.000 m.). Budżet roczny Akademii wynosi około 1 mil. zł.

Nagrody otrzymali między innymi: nagrodę im. Barczewskiego prof. Wład. Konopczyński za „Konfederację Barską" (2 t.), oświatową Ludwik Posadzy za książkę o pedagogicznych poglądach Mickiewicza. Wielką nagrodę z zapisu Janiny Mościckiej (20.000 zł.) otrzymał za dzieło z dziedziny matematyki i astronomii prof. Stefan Banach.

Między nowymi członkami Akademii znaleźli się: jako członkowie czynni Stan. Pigoń, Stan. Grabski, Kaz. Tymieniecki. Członkowie koresp. zostali: prof. Bogdan Nawroczyński, Stefan Szuman, Bogdan Winiarski, Jan Samsonowicz (geol.) i in.

RUCH WYDAWNICZY

Nowa powieść Sergiusza Piaseckiego („Bogom nocy równi". Warszawa 1939. Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Drukarnia „Linolit". Warszawa. Str. 370 + 7 k. nlb) jest dalszym ciągiem a zarazem dokończeniem opowieści szpiegowskiej i przemytniczej. Tym razem punkt ciężkości przeniósł autor na zagadnienie szpiegowskie, chociaż bohater i przemytnictwo uprawia. Jak w poprzednich powieściach tak i tutaj mamy Mińszczyznę jako tło lokalne — i pogranicze. Z zagadnieniem szpiegostwa wojennego spotykaliśmy się już u Struga, tutaj, u Piaseckiego, może mniej głęboko problem ten ujęty, jednak trzeba stwierdzić doskonałe ujęcie psychiki szpiega. Każdy z tych szpiegów igra ze śmiercią, chodzi z nią pod ramię, każdej chwili jest przekonany, że go dosięgnie. Zwłaszcza Roman Zabawa czuje wielką wartość swojej misji wywiadowczej, polegającej na tem, że się z narażeniem na największe niebezpieczeństwa wydziera wrogowi tajemnice. W rzeczywistości jednak codzienną praca i zasługi wywiadowcy nie są uznawane w pełni. Prócz tego poczucia obowiązku społeczno-narodowego inny jeszcze motyw kieruje życiem szpiega wywiadowcy: ciekawość i ryzyko. Nie wiedząc nieraz o tem — dosięga wyżyn bohaterstwa.

Szczegółowo i dokładnie opisał autor w tej powieść środowisko bolszewickie z aparatem władzy. Zabawa jako Paweł Smoleń pracuje w akumulatorni, ma możność poznania wszelkich tajników sowieckich. Widzimy w powieści katów G. P. U. oraz ich ofiary. Rozumiemy chęć odwetu i zemsty za złamane życie i zniszczoną duszę. Obok mężczyzn wywiadowców autor przedstawia nam i szpiegi kobiety, jak ze strony polskiej rzekoma Wiera Rodzińska.

Nie jest winą autora, że powieść sprawia wrażenie ponure, niemal rozpaczliwe, tak głęboki jest upadek człowieka w bolszewii. Podkreślić należy w powieści patos. Co prawda prymitywny. Postawa autora jednak wobec świata i człowieka jest pozytywna i optymistyczna, autor wierzy w postęp, jaki się w duszy ludzkiej dokonywa. Obecny okres przeżywany przez ludzkość to okres przejściowy. Cofnęła się, aby przeszkody przekroczyć.

Triumf święci autor zwłaszcza w opisach śmierci, jak np. Charewskiego. Sam bohater, Roman Zabawa, narażony był na załamanie się swej wiary w człowieka (rozczarowanie się co do Lizy). Perypetje, które Liza przechodziła, to nie wyjątek, niestety, to tragiczny wykwit nie mniej tragicznej atmosfery pod względem moralnym. Aby się nie załamał i nie upadł, konieczne są dla Romana silne podniety, z których najzgubniejsza kokaina.

Dla pełności obrazu przedstawia autor i bolszewików ideowych jak Nina Daniewska. Jest to rok 1923, a więc napady band dywersyjnych ze strony bolszewickiej. Powieść sprawia wrażenie autentyzmu i reportażu, życie wzięte *in flagranti*. Las, rzeka, szpieg, przemytnik — oto ponura, tragiczna całość z pogranicza sowieckiego. Nie dziwimy się tak dalece, gdy się przypatrzymy cynizmowi i goryczy Kledzińskiego, gdy uprzytomnimy sobie tragiczne jego przejścia w bolszewii. Powieść ta to wizerunek psycho-patologicznych i zdarzeń i ludzi. W stosunku do powieści poprzednich stworzy utwór postęp, nie ma już tu ani dłużyzn ani prymitywnego synchronizmu. Może zbyt rozwlekłe jeszcze dyskursy polityczne i filozoficzne na temat człowieka i życia dałoby się skrócić, nieraz wyeliminować.

(J. Św.)

NOWE KSIĄŻKI

Benjamin René. Mussolini i jego naród. Tłum. Michał Małek. Częstochowa 1939. A. Gmachowski i sd. S. 173.

Ferdynand Ruszczyc. Życie i dzieło. Księga zbiorowa, wydana staraniem Komitetu uczczenia pamięci F. Ruszczyca w Wilnie. Ilustracyj 322. Wilno 1939. Skład gł. w księg. św. Wojciecha (Poznań — Warszawa — Wilno). Str. XXVIII i 481 in folio. (Wyd. luksusowe).

Wawel. Katedra i Zamek Królewski. Wstępem poprzedził dr. St. Świerz-Zaleski. Kraków 1939. S. A. Krzyżanowski (70 zdjęć, 7 wielobarwnych).

Dziewanowski Władysław. Mundury wojska polskiego. Opracował.... przy współudziale Józefa Konopki. Tablice i opracowanie graficzne Xawerego Koźmińskiego i St. Haykowskiego. Lwów (1939). Książnica — Atlas (Album).

Pieradzka Krystyna dr. Na szlakach Łemkowszczyzny. (Z ilustr.). Kraków 1939. Nakładem Komitetu do spraw szlachty zagrodowej na wschodzie Polski. Str. 232 i 2 mapy.

Alberti Kazimiera. Serce zwierzęce. (Poezje). Warszawa 1939. Skład gł. w księg. F. Hoesicka.

Parandowski Jan. Dwie wiosny. Wyd. II. Lwów 1939. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 79.

Sinko Tadeusz. Trzy poetyki klasyczne. Przełożył, wstępem opatrzył i objaśnił.... Bibl. Nar. Seria II, nr. 57. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. XXX i 153.

POKŁOSIE

KULT NIŻSZOŚCI SOCJALNEJ

CZERWIEC pachnący akacją, falujący łanami zboża, zawsze każe zwrócić oczy ku wsi „sielskiej anielskiej" i zapomnieć choćby na chwilę o tym, że nie jest jednak tak... „sielsko anielsko" i że słowa: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna..." nie mają najmniejszego dziś sensu, bo „na całym świecie wojna" zależy nie tylko od produkcji żelaza ale i chleba.

Ostatnie lat kilkanaście, okres wprowadzania systemu centralistycznego, odsunął wieś na plan dalszy. Aniśmy się spostrzegli, jak zostaliśmy wszyscy w orbitę tego systemu wciągnięci. Wsi nie znamy. Zupełnie. I gorzej, że nie staramy się jej poznać.

Problemowi temu poświęcił Karol Stefan Frycz „widownię" w poprzednim numerze „Myśli". Problemowi zaś wsi w literaturze poświęcił niedawno, również na łamach „Myśli", artykuł Marian Kiniorski. I jeden i drugi przemawia w tym samym duchu, Kiniorski wskazuje na nieznajomość dworu, na jakiś papierowy w książkach szablon, a nie ukazywanie prawdziwego, wziętego z życia obrazu. Szablon oświetlany to ckliwym, tanim sentymentalizmem, to czerwonawym światłem radykalizmu, to wreszcie potraktowany w guście miejskiej maniery. Frycz znowu mówi: „Operujemy tylko szablonami i na wszystko mamy gotową odpowiedź..."

Przyszedł mi w tej chwili na myśl mój artykuł p. t. „Literatura w szablonie", który kiedyś „Myśl" drukowała, przyszedł również i inny mój artykuł, opatrzony tytułem: „Ignorancja... ignorancja..." Nikt obecnie nie wie naprawdę, co się dzieje tuż zaraz poza rogatkami miasta. Jeździmy często do lasku bielańskiego, gdzie nas dowozi tramwaj miejski, ale granicząca z laskiem wieś Młociny napewno już dla wszystkich stanowi cały stek problemów, których ani rusz zrozumieć się nie potrafi i którymi w gruncie rzeczy nikt się nie przejmuje. Na wieś, pojmowaną jako sumę kłopotów, jest doraźna „pomoc lekarska" w postaci komisarycznego wójta, metodą zaś obliczoną na dalszą metę — ów system odsuwania wsi od życia publicznego i to już na terenie rady gminnej czy nawet gromadzkiej. Daje to skutek zgoła nie oczekiwany — wzrost egoizmu jednostkowego, zamknięcie się w kole spraw życia materialnego, odrodzenie *sui generis* patriotyzmu.

Skąd te szablony, co dają gotowe a bzdurne odpowiedzi?

Podzielmy Polskę na obóz rządzący i znajdującą się w stosunku do *regime*'u opozycję. Pierwszy stanowi mieszaninę doktryn, co w sumie daje brak jednolitego poglądu, albo rozmienia się na drobne sprawy, łatanie lokalnych dziur, pozbywanie się z dnia na dzień piętrzących się kłopotów widzianych od strony administracji zawsze na życie patrzącej przez nieprzezroczysty mat papieru. Opozycja z kolei niepokoi przerostem doktryny nad znajomością życia — skutek ustawicznego jej od życia tego odsuwania. Doktrynerstwo opozycji jest dwojakiego rodzaju: lewica czerpie gotowe wzory wyprodukowane dla wszystkich („*wsiem, wsiem, wsiem*"), świata całego, nacjonalizm znowu wciąż rozszerza ramy swego politycznego marzenia.

A tymczasem trzeba sobie jednak zdać z tego sprawę, co to jest naprawdę ta wieś...

Pisać w tej chwili o niej? Nie tylko felietonu — księgi zamało. Dotknę więc dziś jednej tylko, jedynej kwestii, która szczególnie mnie irytuje: kultu niższości uprawianego świadomie przez niektóre organizacje żerujące na organizmie wsi. Są to organizacje mające za zadanie podtrzymywanie odrębności socjalnej a to nie w duchu dumy stanowej, jakby się logicznie rzecz biorąc zdawało, ale właśnie przeciwnie, w duchu ciągłego podtrzymywania poczucia upośledzenia. Oczywiście podłożem jest tu zawiść szczególnie kształcona, a co za tem idzie, wykreślanie linii podziału wyraźnie przeciwstawiającej świat proletariacki światu posiadającemu, czyli wzorem rosyjskim w niemal jednym obozie stawiającym ziemianina i „kułaka", w drugim służbę folwarczną oraz bezrolnych, przyczem fornal szczególnego nabiera wyrazu, stanowiąc jakby awangardę rewolucji (doczekał się nawet gloryfikacji w literaturze i to osobnym poematem), a to dlatego, że jest „gnębiony" właśnie przez „pana". Znowu szablon, bo „panów" osiadłych jest coraz mniej, a słowa „ziemianin" nie można już dzisiaj identyfikować ze słowem „szlachcic". Charakterystyczne, że w tym obrazie rysującym przekrój wsi, jakoś ani rusz nie mogą dostrzedz żyda... „Pan" — krwiopijca, „ksiądz" — krwiopijca, „kułak" — krwiopijca, żyd tylko manną się karmi. Wyłącznie.

Kult zawiści oraz socjalnej niższości przenosi się i w szeregi inteligencji wyrosłej ze wsi a w organizacjach ludowych ukształtowanej, czyniąc z niej warstwę ludzi prawdziwie kalekich, nieszczęsnych, bo straszliwym kompleksem obarczonych. Nie trzeba chyba dodawać, że ludzie tacy właśnie przez ów swój kompleks stają się elementem w życiu narodowym nad wyraz szkodliwym. Nie rozszerzą skali dążeń i nie dojrzą nowych horyzontów — to pewna. A przez programowe odsuwanie się od tego gatunku kultury w orbitę której wejść jednak muszą, stawiają siebie poza obrębem tych, co to pomnażają złoża cywilizacji. Kultywowanie prymitywu, jeśli nie wręcz chamstwa, posiadając jednocześnie przywileje człowieka oświeconego, to coś więcej, aniżeli paradoks.

System pielęgnowania poczucia socjalnej niższości, tworząc dyplomowanych wykolejeńców, tworzy nieświadomie, czy też świadomie (raczej to drugie), elitę dla wykolejonych, to jest wyzutych z ziemi, lub na niewielu morgach siedzących chłopów, których t. zw. „doktryna ludowa" nie chce za wszelką cenę puścić do miast, czekających i czekających wciąż na element chłopski. Wieś jest przeludniona, wieś ma już obecnie kilka milionów bezrobotnych, ale jakaś zła siła stawia im tamy na drogach, zamyka rogatki.

Wzrasta tedy na wsi liczba wiejskiego proletariatu wychowana w zawiści. Proletariatu programowo przez swych przywódców skazywanego na biedę, idealną pożywkę bakterii mikromanii.

I narasta wciąż elita tego proletariatu, warstwa inteligencka, wychowana w kulcie niższości socjalnej. W sumie to proces groźny, któremu trzeba jaknajprędzej i najmocniej przeciwstawić poczucie godności, smak ambicji, no i konkret tego, co nazywamy ustrojem.

JAN BAJKOWSKI

W POGODĘ

Błękitna gałąź nieba,
obłok — pierzasty liść.
Gdy szczęścia mi potrzeba,
to po nie muszę iść.

Gałąź się nie nachyli
i nie opadnie kwiat. —
O, smutku mój motyli,
taki-żeś pomny strat?

Błękit nieba daleki,
daleka szczęścia kiść.
Więc już zawsze przez wieki
samotny muszę iść?

WIESŁAW PYREK

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.